CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 7 Listopada 1937 R. NR. 44

Zbigniew Domaniewski

Problemy umiastowienia

Z zadowoleniem rozprawia się dziś w Polsce o zainicjowanym procesie uprzemysłowienia, a w konsekwencji umiastowienia kraju. Dla realizacji tego procesu mobilizuje się kapitały i plany, domagamy się na terenie międzynarodowym otwarcia nam dostępu do zamorskich źródeł surowcowych. Ale przy tym wszystkim pomija się najczęściej — przynajmniej w publicystyce — ten doniosły fakt, że uprzemysłowienie kraju wymaga nie tylko surowców i kapitału, ale również mobilizacji rąk do pracy.

Wobec ciążącego na życiu wsi polskiej przeludnienia, rozwiązanie problemu rąk do pracy w powstającym przemyśle wydaje się być łatwe i proste: ludność wiejska napłynie do miast i stworzy kadry robotnicze. Jednak nie tylko chodzi o ilość, ale i o jakość rąk robotniczych, a o tym właśnie najczęściej się zapomina. Nie można również rozumować li tylko oderwanymi kategoriami gospodarczymi, kategoriami produkcji dóbr i wydajności pracy, gdyż są to tylko środki, służące do osiągnięcia znacznie szerszego celu — ewolucji społeczeństwa. Jeśli nawet nie traktować czynników gospodarczych jako środków, lecz uznać je za cel sam w sobie, to ewolucja społeczna będzie zawsze nieuniknioną konsekwencją ewolucji gospodarczej. Dość przypomnieć fakty z historii społecznej państw zachodnio-europejskich w XIX wieku, by uświadomić sobie jak potężne przemiany społeczne zachodzą w narodzie, którego charakter rolniczy zmienia się na korzyść przemysłowo-miejskiego.

Zdajmy więc sobie jasno sprawę z tego, że ściągając w Polsce grupy nadmiernie licznej ludności ze wsi do miast przemysłowych, uwalnia się siły i rozbudza ewolucje społeczne, które muszą prędzej czy później zmienić wydatnie społeczne oblicze kraju. Należy sobie dalej uświadomić, że tymi rozbudzonymi siłami, tymi społecznymi procesami ewolucyjnymi trzeba gospodarować i kierować i to od chwili rozpoczęcia się migracji wewnętrznej i uprzemysłowienia.

Teoretycy i praktycy uczynili na podstawie doświadczeń z ubiegłego stulecia szereg ciekawych spostrzeżeń o społecznych i biologicznych następstwach procesu uprzemysłowienia i umiastowienia kraju rolniczego. Z pomiędzy tych następstw najbardziej zewnętrzne scharakteryzował Hansen (1899) w efektownym zdaniu, że „jeśliby dziś wszyscy nasi chłopi stali się negrami, nie zmieniając przy tym innych swych właściwości, to w ciągu niewielu pokoleń miasta nasze byłyby zamieszkane również przez negrów". Od końca ubiegłego stulecia zmieniły się wprawdzie biologiczne i socjologiczne warunki życia w miastach, ale zmieniły się tak, że teza Hansena pozostaje nadal słuszną. W warunkach ubiegłego stulecia rodziny miejskie dlatego głównie ustępowały miejsca napływowym elementom wiejskim, że wymierały w następstwie ograniczania potomstwa i skutkiem warunków hygienicznych, gorszych w mieście niż na wsi. Dziś hygiena życia miejskiego stoi wysoko, wzamian za to rozwinął się jednak u rodzin o typie miejskim radykalizm ograniczania potomstwa. Można więc nadal oczekiwać wzrostu ludności miast w następstwie immigracji ze wsi, przy mniej lub więcej pasywnym, czy wręcz negatywnym udziale demograficznym miejscowej ludności miejskiej, jak to było ze wzrostem ludności stolic europejskich w ubiegłym stuleciu. Petersburg zawdzięczał naprzykład swój wzrost ludności o 100% w latach 1801 — 1890 pozytywnemu udziałowi w wysokości 127% czynnika immigracji i zwiększenia obszaru miasta, przy negatywnym udziale przyrostu (ubytku) naturalnego w wysokości 27%. Ludność Paryża wzrosła w latach 1821 — 1890 również o 100%, przy tym dzięki rozszerzeniu granic o 21%, dzięki immigracji o 64%, a dzięki przyrostowi naturalnemu tylko o 15%. Podobnie było z innymi stolicami, które zmieniły całkowicie w ciągu ubiegłego stulecia swą fizjonomię ludnościową. Chodzi tu jednak — jak już wspominaliśmy — nie tylko o to, że pod wpływem immigracji miasta zaludniają się „negrami"; to jest najprostsza i najoczywistsza część zagadnienia. Chodzi raczej o to, że negr negrowi nie równy. Proces emigracji ze wsi do miast połączony jest zwykle z procesem selekcji i to właśnie jest rdzeniem zagadnienia, będącego tematem niniejszego artykułu.

Znowu posłużymy się spostrzeżeniami teoretyków i praktyków społecznych. Karol Marx zwraca np. w swym „Kapitale" uwagę na to, że ludność robotnicza miast Anglii odznacza się z pokolenia na pokolenie coraz to mniejszym wzrostem. Berliński profesor, F. R. Günther, przypomina, że w „Rozmowach Goethego z Eckermannem" Eckerman opowiada jak widział za czasów Napoleona batalion piechoty francuskiej, składający się z samych tylko Paryżan. Byli to wszystko szczupli, mali ludzie, tak iż Eckermann nie mógł pojąć czego oni mogli dokonać na wojnie. W przeciwieństwie do tych Paryżan, widział on w armii Wellingtona grupę szkockich synów chłopskich: „Wszyscy silni,

rzeźcy i zwinni, jakby wyszli prosto z ręki Boga. Wszyscy oni nieśli głowę tak lekko i wysoko i szli ze swymi nagimi, silnymi kolanami tak swobodnie, jakby nie istniał dla nich grzech pierworodny i żadne grzechy ojców". — Żadne grzechy ojców! Oto literacki zwrot, który trafia w biologiczne i socjologiczne sedno procesu umiastowienia. Mianowicie badania (Verschner) wykazały, że wpływ warunków otoczenia na wagę jednostki ma się tak do wpływu dziedziczności, jak 1 : 2, a na wzrost jak 1 : 10, 4. Jeśli więc Marx zwracał uwagę, że ludność robotnicza miast Anglii odznacza się z pokolenia na pokolenie coraz to niższym wzrostem, jeśli Eckermann dziwi się „szczupłym i niskim" Paryżanom i przeciwstawia im rosłych synów szkockiej roli — to kryje się w tym doniosły fakt, że nie tylko warunki biologiczne życia miejskiego, ale w wielokrotnie większym stopniu wpłynęła na fizyczną dekadencję ludności miast okoliczność, iż miasta otrzymywały z immigracją niekorzystne fizyczne (i moralne) skłonności dziedziczne. Rozwój miast w XIX stuleciu ściągał do nich negatywne elementy ludności wiejskiej w daleko większym stopniu niż elementy pozytywne, co wynikało z pewnych właściwości ówczesnej struktury społecznej. Norweski badacz Steffensen charakteryzuje to, w odniesieniu do miasta Halle, w następujących słowach: „Dzięki łatwości, z jaką się otrzymywało... prawo obywatelskie, wzrosła wprawdzie liczba mieszkańców, ale zato w sposób niekorzystny. Włóczęgi i rozmaita hałastra zbiegły się tutaj". A było tak nie tylko w Halle, lecz i w innych gwałtownie w XIX stuleciu rosnących miastach.

W świetle powyższych rozważań ukazuje się nam aktualny problem społeczny w Polsce. Mianowicie inicjowanie procesu umiastowienia Polski nakłada na nasze barki obowiązek czuwania, żeby wzrost miast, karmionych nadmiarem ludności wiejskiej, nie odbywał się w równie pierwotnej formie, jak wzrost miast w krajach Europy Zachodniej w XIX stuleciu. Zresztą i Polska powojenna ma swoją własną, choć miniaturową, historię szybkiego umiastowienia, mianowicie historię Gdyni. Otóż niejednokrotnie już zwracano w prasie polskiej uwagę na to, że Gdynia, „ziemia obiecana" w pojęciu wielu Polaków, stała się terenem najazdu jednostek conajmniej zbędnych. Z pomiędzy społeczeństwa gdyńskiego odzywały się już słuszne i warte dokładnego zapamiętania głosy, że ściśle biorąc, dla osiedlenia się w tym dla Polski tak ważnym mieście, należałoby mieć pewną legitymację (w rozumieniu przenośnym), moralną, intelektualną i fizyczną, że do zjawienia się na gruncie gdyńskim trzeba mieć pewne prawo. Nie dość, żeby Gdynia rosła; chodzi o to, kto się składa na wzrost jej ludności. Nie dość, żeby się Polska umiastowiała; trzeba, żeby powstawały miejskie skupiska ludzi pod każdym względem wartościowych.

Umiastowienie Polski rozpoczyna się w momencie, kiedy wieś polska weszła w stadium organizacji społecznej, kiedy odbywa się mobilizacja elementów wartościowych dla należytej realizacji zadań życiowych wsi. Powstaje przeto niebezpieczeństwo, że miasta wchłoną grupy ludności wiejskiej o wartościach niższego rzędu, grupy pozostawione poza nawiasem wiejskiej mobilizacji sił. Wprawdzie miasta przyciągają nie tylko te elementy wiejskie, które na wsi nie mają wielkich szans życiowych; wieś oddaje miastu w normalnych warunkach migracyjnych znaczny procent swych elementów najcenniejszych. Ale obecnie w Polsce ten normalny przebieg migracji ze wsi do miasta może łatwo ulec deformacji. Wieś polska, która lata całe tkwiła w społecznym bezwładzie, wchodzi teraz w okres ożywienia i może stać się wkrótce sama dla siebie ośrodkiem przyciągania. Oba procesy: umiastowienia i rekonstrukcji wsi polskiej, będą więc absorbowały jeden i ten sam materiał ludzki, wartościowe elementy polskiej wsi. Wynika więc z tego, że proces emigracji ze wsi do miasta powinien być skoordynowany z ruchami społecznymi wiejskimi. Zaniedbując to, moglibyśmy ujrzeć Polskę umiastowioną, ale zześrodkowanymi w miastach masami ludności moralnie, intelektualnie i fizycznie, a może nawet i patriotycznie niepewnych, którym przeciwstawiałaby się zdrowa wieś.

A i tak proces umiastowienia, choćby się odbywał w następstwie najdokładniej selekcjonowanego ruchu ludności, wprowadza do życia kraju czynniki naruszające istniejącą równowagę społeczną i polityczną. W Polsce, w chwili obecnej, obserwujemy proces społecznej i politycznej waloryzacji środowiska wiejskiego. Wieś zaczyna zabierać w Polsce coraz to donioślejszy głos. Być może to, co się rozgrywa teraz na odcinku wiejskim, jest wstępem do stabilizacji Polski jako kraju rolniczego. Otóż proces umiastowienia Polski musiałby zamącić ten proces stabilizacyjny już w jego zaczątku. Kiedy więc miasto ma zamącić cośkolwiek, co jest społeczną stabilizacją Polski, to tym więcej bierze na siebie obowiązek odegrania samemu roli stabilizatora. Nie łatwo jest odegrać taką rolę miastom i to miastom młodym, czy odmłodzonym przez szybki wzrost. Miasta są jakby retortą, w której odbywa się uwalnianie sił międzyatomowych napływowej ludności wiejskiej. W miastach tworzy się to, co nazywamy „duchem masy", to, co jest siłą zdolną zarówno odnieść zwycięstwo narodowe, jak i rozpętać ruch wywrotowy. Jeśli Plutarchus miał rację, mówiąc, że najlepsze jest to państwo, w którym najwięcej posłuchu budzą prawa, a najmniej mowy; jeśli socjologowie amerykańscy Sorokin i Zimmermann mają rację, twierdząc, że „ludność chłopska jest mniej rozmowna i nie jest przyzwyczajona reagować stale na mowy publiczne... i jej sądy mają naogół więcej treści i trafności, niż sądy ludności miejskiej" — to musimy w takim razie uświadomić sobie, jak wielkie źródło społecznych i politycznych niepokoi powstaje w kraju, który sprowadza znaczną część swej ludności wiejskiej do miast. Proces umiastowienia, proces transformacji charakteru kraju z rolniczego na miejski, jest zarazem procesem zamiany elementów statycznych psychiki narodowej na elementy dynamiczne. Nie darmo Lenin, tworząc Rosję rewolucyjną i mającą być taranem w rękach idei rewolucji światowej, przekształcał ją z kraju rolniczego na przemysłowy, miejski. Czyli że naodwrót tam, gdzie się ten proces odbywa z innych przyczyn, baczyć należy, aby przez pozostawienie tego procesu bez należytego kierunku społecznego nie skończył się on na podłożeniu dynamitu ludzkiego pod stare i nowe miasta. Dotyczy to szczególnie Centralnego Okręgu Przemysłowego, mającego stanowić ważne ogniwo systemu obrony kraju. Tutaj trzeba mieć gwarancję, że kiedykolwiek w trudnej dla kraju sytuacji zewnętrznej obce agentury nie zdołają wywołać — jak to było we Francji latem i jesienią 1936 — strajków okupacyjnych czy innych niepokoi politycznych. Praca w okręgu centralnym musi być w stokroć większym stopniu niż w innych ośrodkach wykonywana przez ludzi, mających pełne kwalifikacje społeczne i narodowe.

Nasuwa się jednym słowem konieczność kierowania i starannej selekcji tych mas, które mamy przesunąć ze wsi do nowych czy dawnych miast Polski. Z jednej strony konieczne jest baczenie, aby przy odpływie ludności do miast nie nastąpiło zachwianie równowagi między wartościami ludzkimi miasta i wsi. Łączy się z tym zadanie przyśpieszenia tempa „podciągania w zwyż" tych jednostek, należących do substancji migracji wewnętrznej, które się podciągnąć dadzą. Natomiast czynniki zdecydowanie negatywne, należałoby trzymać od miast daleko, aby nowej kreacji życia polskiego już na wstępie nie obarczać kompleksem niższych skłonności dziedzicznych. Z drugiej strony, zadaniem społeczeństwa, które przeżywa proces umiastowienia, jest baczenie na to, aby siły dynamiczne, jakie rozbudzą się w miastach, nie wyładowały się w dynamice przewrotu, lecz w dynamice konstrukcji. To zaś wymaga, aby równocześnie z umiastowieniem odbywał się proces przystosowywania istniejących form życia społecznego i politycznego do zmieniającej się fizjonomii kraju. Nie powinno się to dokonywać samoistnie, lecz planowo.

Za mało mówi się w Polsce o umiastowieniu, jako doniosłym procesie przemian społecznych. Na tę stronę umiastowienia należałoby zwrócić więcej uwagi i uczynić z jej regulacji palące zadanie. Należałoby w każdym razie stworzyć świadomość istnienia pewnych problemów o znaczeniu zasadniczym.

Józef Wojciechowski

Sprawy nieporównalne

Jaskrawe zaostrzenie polityki narodowościowej wobec ludności polskiej w Niemczech w ostatnim okresie sprawiło, że coraz częściej myśli się i mówi u nas o losie naszych rodaków w Trzeciej Rzeszy. Ale i po stronie niemieckiej szereg czynników złożył się na zwiększone zainteresowanie dla sprawy mniejszości niemieckiej w Polsce. Powodem nieostatnim pod względem znaczenia jest tu niewątpliwie wygaśnięcie Konwencji Genewskiej na Śląsku, wygaśnięcie umowy, która stwarzała stan wielkiego uprzywilejowania mniejszości niemieckiej. Stało się więc, że sprawy mniejszościowe stanęły w ośrodku zagadnień polsko - niemieckich. W warunkach tych nasuwa się więcej, aniżeli kiedykolwiek przedtem, potrzeba syntetycznego zestawienia i rozważenia sytuacji dwóch mniejszości: polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce.

Czynnikiem, który dla bytu i rozwoju każdej mniejszości w państwie posiada duże znaczenie, jest zespół przepisów wyznaczających jej sytuację prawną. Niemcy w Polsce mają pod tym względem warunki najzupełniej określone. Podstawę prawną stwarza dla nich, podobnie jak dla wszystkich innych mniejszości na terenie państwa polskiego, obowiązująca Ustawa Konstytucyjna. Istnieje więc najpierw przepis artykułu 7 ustęp 2, sformułowany negatywnie, że *„ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia... uprawnień u obywatela"*. Sferę pozytywnych praw mniejszości wyznaczają, zachowane w mocy postanowieniem artykułu 81 Konstytucji, artykuły 109 i 110 dawnej ustawy konstytucyjnej. Stawiają one zasadę nieograniczonej swobody pielęgnowania mowy i właściwości narodowych, zakładania zakładów dobroczynnych, religijnych i społecznych, szkół i innych zakładów wychowawczych, nadto zaś wysuwają śmiałą koncepcję autonomicznych związków mniejszości. Wymienione tolerancyjne normy dają w sumie szeroką, a przede wszystkim jasno określoną, sferę uprawnień, posiadającą pierwszorzędne znaczenie dla ludności niemieckiej w Polsce.

Nie można tego powiedzieć o położeniu ludności polskiej w Niemczech. Konstytucja Weimarska — cokolwiek mówiłoby się o sytuacji Niemiec pod względem formalnym — stała się ciałem najzupełniej obcym w dzisiejszym ustroju Trzeciej Rzeszy. W hitlerowskim, totalnym ujęciu narodu i jego funkcyj życiowych nie znalazło się miejsca dla doktrynalnego określenia sprawy mniejszości. Hitleryzm ignorował ją w czasie, kiedy zdążał do władzy, a i obecnie, po czterech latach rządów, nie zdobył się na żadne sformułowanie stanowiska pod tym względem. Stąd niezwykły fakt, że długotrwałe zabiegi kierownictwa Związku Polaków w Niemczech o rozmowę z kanclerzem Hitlerem, zmierzające do wyjaśnienia sytuacji prawnej Polaków w Niemczech, nietylko że nie doczekały się realizacji, ale pozostały bez wszelkiej odpowiedzi. Wygląda to tak, jakby czynniki oficjalne Trzeciej Rzeszy poczuły się w kłopotliwym położeniu, nie widząc możliwości uchwycenia i tolerowania jakiejkolwiek odrębności w ramach wyłącznego, o „jedność narodu" opartego ustroju społeczno - politycznego Trzeciej Rzeszy. Jeżeli więc o sytuacji prawnej Niemców w Polsce można powiedzieć nietylko iż jest jasna i sprecyzowana, lecz ponadto, że daje szeroką sferę swobód, o tyle o położeniu Polaków w Niemczech nie można nawet utrzymywać, żeby było jasne i sprecyzowane. Praktyczne konsekwencje tego stanu rzeczy są oczywiście ogromne. Wyrażają się one przede wszystkim w braku formalnego tytułu do występowania w imieniu polskiej grupy narodowościowej w obronie jej interesów, np. w braku formalnej legitymacji do wszelkich kroków wyjaśniających w doniosłej sprawie obowiązywania ustawodawstwa narodowo - socjalistycznego, zmierzającego do zabezpieczenia żywotnych interesów narodu niemieckiego, także w stosunku do obywateli niemieckich narodowości polskiej, w pociąganiu ludności polskiej w Niemczech do obowiązków sprzecznych z najbardziej prymitywnym poczuciem narodowym, wreszcie w ciągłej niepewności co do tego, co właściwie jest jej prawem, a czego jej nie wolno.

Daleko idącą różnicę położenia ludności polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce stwierdzamy również porównywując niemieckie i polskie postawienie problemu, kogo państwo uważa za członka grupy mniejszościowej. Polska ustawa konstytucyjna traktuje o prawach mniejszości pod kątem widzenia podstawowych praw człowieka i obywatela, poręczając obywatelom w artykule 5 swobodę rozwoju wartości osobistych, wolność sumienia, słowa i zrzeszania. Z faktu tego wynika, że państwo pozostawia jednostce wolność samookreślenia postawy narodowej i ma tendencję liczenia się w zasadzie ze swobodnym aktem woli. Wspomianą tendencję potwierdza również szereg ustaw specjalnych, dotyczących stosunków mniejszościowych. Przypomnijmy sobie tylko ustawę o języku urzędowym sądów, urzędów prokuratorskich i notariuszy w okręgach sądów apelacyjnych w Poznaniu i Toruniu, rozciągniętą niedawno w mocy obowiązującej na obszar sądu okręgowego w Katowicach. Prawo posługiwania się językiem niemieckim ma każdy, kto oświadczy, iż jest obywatelem polskim narodowości niemieckiej. Oświadczenie takie wiąże sądy, urzędy prokuratorskie i notariuszy, chyba że się okaże nieprawdziwe. Praktyczne odstępstwa od tej zasady swobodnego oświadczenia woli miały i mają w Polsce charakter wyjątku, uzasadnionego wielokrotnie stwierdzonym nadużyciem przez Niemców wpływów gospodarczych (zwłaszcza na Śląsku) w kierunku wpływania na oświadczenie woli ludzi gospodarczo zależnych. To też wspomnianą zasadę uzupełniono przestrzeganą ściśle w praktyce zasadą języka macierzystego.

A jak przedstawia się pod tym względem położenie ludności polskiej w Niemczech? Przede wszystkim, wobec scharakteryzowanego wyżej braku jasnych sformułowań, skazani jesteśmy na dedukowanie wskazówek z obowiązującego ustroju Trzeciej Rzeszy, ideologii narodowo - socjalistycznej oraz przyjętej w praktyce polityki narodowościowej. Ustrój polityczny Niemiec dzisiejszych jest, w przeciwieństwie do Konstytucji polskiej, *jaskrawym przekreśleniem tradycyjnego ujmowania praw człowieka i obywatela.* Prawa wolnościowe zastąpiono systemem drobiazgowych obowiązków wobec wspólnoty narodowej i państwowej, których wymownym wyrazem jest np. cytowany ostatnio także w prasie polskiej wyrok niemieckiego sądu dyscyplinarnego, zasądzający urzędnika za to, że zaniedbał przyswoić sobie założenia i wskazania ruchu narodowo-socjalistycznego. Z założenia jego ideologii wynika jako niezawodna konsekwencja porzucenie zasady swobodnego samookreślenia narodowego. Narodowy socjalizm widzi w związku człowieka z grupą narodową fakt przyrodzony, wynikający ze wspólności krwi, sięgający daleko głębiej, aniżeli sprawdzian języka macierzystego. Z przezorności jednak i obawy przed popadnięciem w ciasnotę szczepową, hitleryzm ujmuje tu związek krwi bardzo szeroko, podkreślając wspólnotę, opartą o pierwiastki rasowe (rasy nordyckiej). Fakt ten pozwolił na przyjęcie przez oficjalne czynniki Trzeciej Rzeszy teorii narodowościowej, która Mazurów, Kaszubów i Górno-Ślązaków zalicza do narodu niemieckiego jako t. zw. szczepy nowoniemieckie. W uzasadnieniach tej szczególnej aneksji podkreśla się, że wspomniane „szczepy" są *tej samej krwi, względnie gatunkowo pokrewnej"* (artverwandten Blutes) z narodem niemieckim. Porzucono więc w niemieckiej polityce narodowościowej kryterium językowe i kryterium swobodnej decyzji człowieka. W ich miejsce wszedł, jako jedyny sprawdzian włączenia do grupy narodowej, moment

biologiczny. W praktyce sprawdzian ten przyjmuje bardzo różne formy taktyczne. Nie brak nawet np. manifestowania dla pozoru zasady swobodnego opowiedzenia się jednostki, którą szermuje się tam, gdzie warunki zależności człowieka od reżimu są tak wielkie, że zapewniają z góry pożądane oświadczenie woli. Ta elastyczność metod określania kto jest, a kto nie jest mniejszością w Niemczech sprawia, że mogliśmy np. ostatnimi czasy być świadkami niepoważnej kampanii prasy niemieckiej, która zredukowała dowolnie i wbrew wymowie, chociażby oficjalnych statystyk niemieckich, siłę liczebną ludności polskiej w Niemczech do 40.000, w najlepszym razie 150.000 głów. W praktyce poczynań codziennych wobec Polaków w Niemczech tendencja ta wyraża się w ciągłym wmawianiu osobom, podkreślającym polskość pochodzenia, że nie są Polakami, że się mylą, bo urząd czy wysłannik partii wie to lepiej!

Gdy mowa jest o wielkich różnicach, zachodzących między sytuacją prawnopolityczną ludności polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce, to nie można pominąć różnic, wynikających z samej odmienności dwuch ustrojów państwowych.

W Polsce, mimo dosyć znacznych korektur ustrojowych w kierunku państwa autorytatywnego, zachował się w zasadzie ustrój demokratyczno - liberalny, oparty o zasadę legalizmu i równowagi między władzą a obywatelem. Konsekwencją jego jest, zwężony coprawda w stosunku do czasów dawniejszych, jednak bardzo jeszcze szeroki zakres swobód obywatelskich. Czerpie z nich hojną ręką mniejszość niemiecka w Polsce, czego dowodem jest chociażby jej buńczuczna i rozbudowana prasa oraz pełne rozmachu życie organizacyjno-społeczne. Walcząc o swoje prawa mniejszość niemiecka w Polsce zawsze może odwoływać się do zasady legalizmu i poszanowania praw obywatela, niezależnie od szczególnych norm prawnych, ustanowionych dla mniejszości narodowych w Konstytucji i ustawach państwowych.

Natomiast hitleryzm, wprowadzając w ustrój Rzeszy zasady totalizmu, monopartyjności i wództwa, stworzył sytuację zgoła odmienną od dopiero co opisanej. Państwo wszechwładne, wnikające do najbardziej prywatnych dziedzin życia obywatela, powołane zostało do realizowania wyłącznie interesów narodu niemieckiego. Jemu tylko ma państwo służyć w każdej swej funkcji. Partia zaś stała się strażniczką tej roli państwa wobec narodu. Jest również wyłączna, poza nią nie może być ośrodka życia politycznego. W bezpośrednim rzucie na położenie ludności polskiej w Niemczech sprowadziło to brzemienne następstwa, wyrażające się w pozbawieniu jej wszelkiej reprezentacji w pruskim sejmie krajowym, w samorządzie, w końcu nawet w ruchu zawodowym. Ale nie na tym przecież koniec. Nowe ustawodawstwo narodowo - socjalistyczne, wychodząc właśnie z założenia wyłącznego interesu narodu niemieckiego i podkreślając to na każdym kroku, stworzyło dla ludności polskiej tę paradoksalną sytuację, że młody Polak obowiązany jest odbywać w szeregach „Arbeitsdienstu" *„służbę dla narodu niemieckiego"* i *„w duchu narodowo - socjalistycznym"*, chłop polski stanowić ma na równi z chłopem niemieckim *„źródło krwi narodu niemieckiego"* (Reichserbhofsgesetz), dziennikarz polski strzec *„honoru Niemca"* (Reichsschriftleitergesetz) i t. d. Ludność polska w Niemczech wtłaczana jest w formy niemieckich narodowych organizacyj zawodowych jak *Arbeitsfront* i *Reichsnährstand*. Nie sposób zresztą w tym pobieżnym przedstawieniu wyliczyć wszystkich ujemnych konsekwencyj totalizmu dla polskiej grupy narodowościowej w Niemczech. Na jedną wszakże warto jeszcze zwrócić uwagę. W ustroju totalnym człowiek został zepchnięty w cień. Z podmiotu pewnych uprawnień stał się przedmiotem w ręku państwa i podmiotem bardzo wielu obowiązków. Jakże szeroki i kuszący arsenał środków powstaje stąd dla łatwej polityki narodowościowej!

Na polu gospodarczym totalizm Trzeciej Rzeszy wyraża się w przejawach i skutkach podobnych. Autarkiczny system gospodarstwa, nastawiony w każdym calu na samowystarczalność i pogotowie wojenne narodu, pociąga za sobą surową centralizację dyspozycji w dziedzinie produkcji, wymiany i konsumcji. Producent liczyć się musi z ograniczeniami polityki surowcowej, kupiec z dystrybucją urzędową środków spożywczych, rolnik z przepisanymi normami zasiewów i ośrodkami dostawy produktów rolniczych. Nie potrzeba oczywiście szeroko dowodzić, że ten system powoduje daleko idące ograniczenie swobody jednostki w życiu gospodarczym. Dla ludności jednak polskiej stwarza on szczególnie dotkliwe utrudnienia. Odczuwają je na sobie zwłaszcza spółdzielnie polskie w Niemczech. Jest rzeczą zrozumiałą, że w ustroju totalnym system dystrybucji kontyngentów i dostaw opiera się na swobodzie uznania czynnika powołanego do przeprowadzenia podziału. Czynnik ten, przeniknięty, jak wszystkie organa władzy i partii w Niemczech, duchem interesu narodowego, nie dba oczywiście o polskie placówki gospodarcze. I gdy w Polsce, przy utrzymującym się jeszcze bardzo szerokim liberalizmie gospodarczym, poczynania tego rodzaju uznane by były za złośliwą szykanę, w Niemczech uważa się je za krok normalny.

Na koniec dziedzina najbardziej uderzających dysproporcyj między położeniem ludności polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce to sprawa gospodarczego, kulturalnego i organizacyjnego stanu posiadania obydwuch mniejszości. Nie potrzeba być znawcą omawianych stosunków, by na tym polu stwierdzić oczywistą anomalię, brak jakichkolwiek sprawdzianów porównawczych. Cyfrze 61 polskich szkół powszechnych i jednego gimnazjum polskiego, przeciwstawia się w dorobku Niemców w Polsce 579 szkół powszechnych i 19 szkół średnich. Dwudziestu siedmiu placówkom gospodarczym typu spółdzielczego przeciwstawia się kilkaset różnorodnych spółdzielni niemieckich, 11 organom prasowym polskim rozbudowana sieć prasy niemieckiej w Polsce. Dysproporcje te starano się nieraz wyjaśnić różnicami siły i poziomu gospodarczego zachodzącymi bezsprzecznie między dwiema mniejszościami. Moment ten wyjaśnia problem tylko częściowo, skoro wiemy, że w bardzo wielu wypadkach stworzenie nowej placówki polskiej w Niemczech hamowane było wyraźnie przez władze niemieckie (sprawa dwuch gimnazjów: w Kwidzyniu i Raciborzu), że stosunkowo niska liczba abonentów prasy polskiej w Niemczech pozostaje w ścisłym związku z naciskiem wywieranym na ludność.

Z pobieżnego przedstawienia elementów położenia ludności polskiej w Niemczech z jednej i niemieckiej w Polsce z drugiej strony, wynika, że zachodzą tu sytuacje pod każdym względem nieporównalne. Tym więcej więc *wymaga ścisłego ustalenia i określenia sytuacja prawna mniejszości polskiej w Niemczech*. Wyjaśnione muszą być przede wszystkiem rzeczy podstawowe. Do najważniejszych należy problem, który zawisł nad ludnością polską w Niemczech, jak miecz Demoklesa: *czy Polaków w Niemczech ma w dalszym ciągu obowiązywać ustawodawstwo narodowo-socjalistyczne, o ile stawia sobie jako cel „wychowanie do niemieckiej wspólnoty narodowej", służbę dla narodu niemieckiego i t. p.* Jest to zagadnienie szeregu ustaw, które na terenie Trzeciej Rzeszy już obowiązują, jak naprzykład ustawy o zagrodzie dziedzicznej, o przymusowej służbie pracy, o zawodzie dziennikarskim, oraz ustawodawstwa, które nadejdzie. Równie ważnym problemem jest precyzyjne ustalenie, kogo państwo niemieckie zechce uważać za należącego do mniejszości. Wydaje się, że z punktu widzenia ludności polskiej w Niemczech byłoby do przyjęcia kryterium, będące właściwością narodowego - socjalizmu, oparte o pochodzenie i związki krwi. Poza tym istnieje przecież bardzo ścisły sprawdzian, wynikający z tego naturalnego wskaźnika polskiej grupy narodowościowej w Niemczech, jakim jest język polski. Porzucona być powinna w każdym razie sztuczna, niepoważna i sprzeczna z wszelką prawdą dziejową, koncepcja, która ludność polską, używającą narzecza mazurskiego, lub kaszubskiego, kwalifikuje do „nowoniemieckich szczepów". Inaczej na odcinku mniejszościowym nie uzyska się pokoju.

W dzisiejszych warunkach wszelka dyskusja na temat sytuacji ludności polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce jest utrudniona niezmiernie. Dysproporcja ogólna jest nazbyt wielka, uniemożliwiająca znalezienie wspólnego miernika.

Melchior Wańkowicz

Ognisko siły — C. O. P.

Kraj zapomniany od Boga

W rejonie powstającego Okręgu Centralnego, w pow. będzińskim i olkuskim, na przestrzeni mającej około 6 klm. długości a trzy kilometry szerokości zalega Błędowska pustynia, obszar piasków lotnych. Nie ujrzysz tam ani drzewka, ani najmniejszego domku, ani jednej skiby. Słownik geograficzny nazywa to miejsce polską Saharą. Istotnie — kiedy skaut łazęga, zabrnie w te miejsca z plecakiem na ramieniu, staje oniemiały po przebrnięciu paru kilometrów. Zostawił za sobą na krańcu tej pustyni zielone życie.

To tak, na włóczęgę po Polsce przed wielką wojną, działała turystyka po ziemiach obecnego Okręgu Centralnego. Naokoło niego wrzało życie. Budowały się statecznie zachodnie ranty Polski, ziemie na wschód, mało kulturalne, słabo zagospodarowane — przecież miały dech szerszy, wyloty w światy, spławy, transporty, interesy, zarobki.

Po podkółkach i kompletach, a gdzie się dało i kiedy się dało — po szkołach, uczyliśmy się o tej jednej Polsce, wpatrywaliśmy się w jej cudną postać wspartą na łuku gór, wieńczoną morzem, żłobioną dolinami, spiętą kręgosłupem Wisły, z gorączką śledziliśmy spory między Nałkowskim i Rehmanem, zadając pytanie, czy też rzeczywiście jesteśmy istmem między wschodem i zachodem położonym, na spłukanie skazanym. Ale w tych naszych mierzeniach i marzeniach — była ona zawsze jedna, z granicami poszczególnych stuleci, jak wstęgi wiewającymi w ląd Eurazji, z tym najdalszym zasięgiem milion kilometrów liczącej Polski Jagiellońskiej.

A tymczasem, w gruncie rzeczy, siedzieliśmy na trzech wydmuchach trzech państw i to co dla nas było sercem Ojczyzny, to dla nich było kresami, podporządkowanymi interesom odśrodkowym, zaborczo centralnym.

Dosyć spojrzeć na sieć dróg w państwach zaborczych — jak w Niemczech uderzają w sześciu punktach w granicę i, połączone magistralą równoległą do granicy — czekają, kiedy poleje się nimi potok wojsk w ofensywie na Rosję.

Jak w Rosji — zbiegają się gwiazdą ku Warszawie, by skoncentrowawszy w niej ucieczkę, ruszyć dalej na wschód, na jakieś modą Kutuzowa linie obronne.

Jak w Austrii — po prostu zanikają przy granicy, ułatwiając przyszłym strategom austriackim ulubione „oderwanie się od nieprzyjaciela."

Dlatego pewno nasze pokolenie wychowywało się niemal na mapach fizycznych Polski. Nie chcieliśmy widzieć tego.

Pamiętam zdumienie, kiedy z kresów przyjechałem odwiedzić kolegę w Biłgorajskim i musiałem z Lublina do Biłgoraja — dużego miasta, jechać rozstawnymi końmi 96 wiorst. Potem z Biłgoraja szedłem piechotą ku granicy, przechodziłem granicę z przemytnikiem. Przemytnik był zmierzwiony kudłaty chłop, koledzy jego — dzikozbóje, izba nędzna. Pomykaliśmy jak zające przez wyrąbany dukt graniczny, który zalewał księżyc. Po dukcie krążyli „objeżczycy" straży granicznej. To był obecny rejon Okręgu Centralnego.

Pamiętam pieszą przeprawę z Sandomierza przez góry Świętokrzyskie do Kielc. Miasto, piękne ni to Polska Verona, zamarłe, odcięte, błotniste, nad zamuloną Wisłą. Z tamtej strony jakieściś wały Austryjak budował, z tej ruski nie chciał i zalewało rok rocznie. Pod Klimontowem nas szczuto psami, pod Opatowem nie przyjęto na nocleg, w Krzyżtoporze łaziliśmy w drobnym kapuśniaku po olbrzymich ruinach, rozsiadłych na wyrudziałej trawie, w jakichś innych ruinach,rozkosznego ongiś zameczku pono Firlejów, mrugały z ostrołuków ustronnej komnaty jakoś zachowane aniołki w różowych girlandach i mówiły o czasach, które były; ale kiedyśmy wyszli — piął się kamienny świątek pobocz piarżystej drogi—w górę na szczyt Świętokrzyski, Słupia leżała w dole pusta i wilgotna i jedyny bliźni, który miał do nas interes, to był „gorodowoj" — policjant na kocich łbach Kieleckiego przedmieścia, który sprawdzał nasze dokumenty. Dławiliśmy się Ojczyzną, po którąśmy poszli. A było to w rejonie A Centralnego Okręgu.

Na naszych kółkach samokształcenia czytaliśmy na głos Szczepanowskiego. Na pierwszej stronie książki był portret pana w wysokim kołnierzyku o jasnym czole, który nam opowiadał o nędzy Galicji. Ważyliśmy gorzko, w sztubackich zacietrzewionych dyskusjach, tę nędzę w jednej ręce, te swobody galicyjskie w drugiej. I wtedy, po raz pierwszy, do umysłów kształconych na humaniorach, egzaltowanych przez niewolę, przekradała się świadomość, że te orzełki białe, którymi handlują żydy w sukiennicach krakowskich i które przewożą w bieliźnie do kraju rozentuzjazmowane paniusie, to jest bardzo mało wobec tych rzeczy, z którymi się szarpał pierwszy galicyjski nafciarz, przemysłowiec i romantyk tej Polski, która nie świtała jeszcze. Ten teren, o którym nam mówił, to był rejon C Centralnego Okręgu.

Więc kiedy przyszła Polska, zbiegliśmy się na miejsca, kędy nasze młode dusze porażała dzikość i nędza, a które przecież w malowankach map były najczystszym sercem Polski i poczęliśmy patrzeć, jak kiedy wędrowiec patrzy w dolinę.

Ujrzeliśmy — kraj wyjałowiony.

80% przewozów kolejowych skupiło się wzdłuż ramion trójkąta Śląsk — Warszawa — Lwów — Śląsk oraz w pionie Śląsk — Gdynia. Drogi wodne zapuszczone, przewożą 1% transportu. Odległość między mostami na Wiśle dochodzi do 70 klm.

Ludność tego centrum Polski t. zn. między Pilicą, Bugiem i Beskidami, wynosząca pięć milionów, dusi się w bezrobociu i w karłowatych gospodarstwach. Na tym zlepku kresów potężnych państw nie rozwinęła się urbanizacja. W miastach Okręgu Centralnego mieszka 17% ludności, gdy przeciętnie w Polsce ludność miejska stanowi 28%. Ci na wsi gnieżdżą się na niebywale rozdrobnionej ziemi; w wielu miejscach karłowate gospodarstwa poniżej 2 ha stanowią 60% wszystkich gospodarstw. Wydrapana jest pazurami uprawa, wyzyskany każdy skrawek ziemi; zaledwo 5% gruntów ornych jest niewyzyskanych. A przecież nie nakarmi ta rozszarpana, pastrzępiona ziemia, którą, w niektórych powiatach jak Tarnobrzeg, Nisko, Łańcut, Lubaczów, Jarosław, Przeworsk, Rzeszów, Brzesko — osiadł rój ludzki po dwieście dusz na kilometrze kwadratowym. Omal jak Holandia, trzykroć jak Francja, więcej jak Niemcy, jak Anglia — kraje bogate i szczęśliwe.

418,000 ludzi jest zbędnych na terenie Centralnego Okręgu. Mogą sobie iść... Ale gdzie iść? Do pięćdziesięciu kilometrów jest od poszczególnych ośrodków, a jak np. w powiecie niżańskim i janowskim— do 70 klm. A same te ośrodki — cóż za nędza!...

Tak oto wygniwa środek „mocarstwowej Polski".

Marszałek Piłsudski powiedział: „Polska jak obwarzanek — to warta, co ma po brzegach".

A u tych brzegów — groźni sąsiedzi.

*

Polska ma za sobą wielki czyn gospodarczy — Gdynię. Tam też był piasek, sosenki i nędzne checze, a teraz stoi pierwszy na Bałtyku port, oparty o wielkie zaplecze.

Gdynia, to jak piękne usta człowieka, w którego organizmie tłuką się wszystkie chore organy. Cóż z tego, że zęby dobrze żują, kiedy w organizmie anarchia; kiedy

ten organizm źle trawi, źle filtruje, źle rozdziela.

Stos pacierzowy Wisły przetrącony. I centrum kraju nikczemnie ubogie, obce sobie, niepowiązane.

Uzdrowić to centrum, przedrylować uregulowaną Wisłę z tego centrum po Gdynię! Powiedzieć sobie, że ze zlepków kresów poaustryjackich, porosyjskich, poniemieckich, powstał młody, prężny, jednolity organizm gospodarczy....

Patrzy uważnie pokolenie, które Gdynię stworzyło, w ten wyjałowiony środek Polski i widzi, że to jest sztuczna pustynia.

Że rejon A — Kielecki, to piryty, kamień drogowy i budowlany, kwarcyty, wapienie, gliny ceramiczne, rudy żelazne, fosforyty.

Że rejon B. — Lubelski, to żywność, to lasy, to hodowla, to przemysł skórzany, to baza aprowizacyjna.

Że rejon C. — Małopolski — to nafta, gaz, ruda mineralna.

Ach, zebrać teraz siły, usplawnić Wisłę i San jako oś Warszawa — Zagłębie.

Przemszą wydostawać się na południo-zachód, Sanem-Dniestrem na południo-wschód!

Usztywnić „papkę" środkową, która nam zalega państwo, stworzyć z Okręgu Centralnego funkcjonalne przedłużenie Górnego Śląska, zmniejszyć opór przestrzeni, przybliżyć kresy do ośrodków przemysłowych.

Co za wielkie, co za potężne zadanie przed nami, wobec którego bledną wszelkie spory, różnice polityczne, rozcinanie włosa na czworo.

Rożnów

Czy spływaliście Dunajcem? Jeszcze kiedy staniecie w nurcie Białego czy Czarnego Dunajca, prąd, sięgający pół łydki, jest tak przemożny, że przebrnąć nie możecie na drugi brzeg. A zdawał się taki ładny i poetyczny strumyk. Tak ładnie i nieszkodliwie wygląda „zwierzątko" w ogrodzie zoologicznym. Dopiero, gdy mu się uda łapą przez kratę musnąć was zbyt silnie, kiedy domaga się o pokarm, prąd was przechodzi, tyle z tego lekkiego dotknięcia przelewa się w nasz organizm siły witalnej, siły utajonej z muskułów ukrytych pod gładką powierzchnią, z muskułów-sprężyn stalowych.

Z wiecznych żlebów śniegu zsącza się z cierkotem Dunajec, mdlejąc w klatce upałów. Przecież, kiedy próbujcie nim spłynąć od Nowego Targu, turyści tysięcy szlaków wodnych, — czujecie, że wzięła was na grzbiet bestia dzika i nieokiełznana i niesie, roztrącając między szypotami.

Krajoznawcy dostojni urządzają się bezpieczniej. Tych wiozą górale na złączonych łodziach. Mkną łodzie wysłane dywanem, cygani wchodzą z brzega w wodę i grają, cyganięta z girlandami tworzą łuki triumfalne, pod którymi przejeżdżają turyści. Wypiętrzają się szczyty Smokowca i Trzech Koron, wali przez przełom z hurkotem duża już rzeka, opuszczamy ją w Szczawnicy z zachwytem.

Tyle z tego miał człowiek teraz i za dziadów i za pradziadów. Z wody złej szalonej i pięknej, z wody zbyt silnej, by na niej choćby młyn postawić. Tyle co pstrągarze, ugwarzający wieczorami w gospodzie Czorsztyńskiej, tyle co paniusie, siedzące ze sztalugami po zboczach i usiłujące zbrzydzić Panu Bogu jego własne dzieło.

A przecież z dziada pradziada wiedział człowiek, że woda potrafi robić za niego. W szacunku dla tej wody — pomocnika wzrastałem jako dziecko. Młyny wodne na Uszy, w Kniaziówce, przyglądały się dobrotliwie wielu sportowym wyczynom.

Cenili tę wodę i dziadowie. Edward Massalski, sąsiad pradziada mego Melchiora, pisze w pamiętnikach:

„...Kiedy nasz młyn już był gotów, przed samym zamełciem Wańkowicz przyjechał i zebrał ludzi z rydlami z zamiarem rozkopania naszej grobli; w zapędzie powiada, że nie tylko grobkę rozkopie, ale i młyn zrzuci. Jakoż posłał niezwłocznie zgromadzać swoich z toporami i strzelbami. Ojciec też zgromadził swoich strzelców i toporników i kilkunastu dworskich z pistoletami i strzelbami. Ale kiedy już miało przyjść do bitwy, sąsiedzi, przyjaciele obu stron, wdali się w tę sprawę i wykryła się intryga Szlomy, arendarza młyna Wańkowiczowskiego. Wańkowicz, sam prezes Sądu Głównego w Mińsku, pomiarkował się i sprawa zakończyła się sutą ucztą obu wojsk na pozdrowienie nowego młyna".

Kiedy jednak po leniwych rzeczkach białoruskich stawialiśmy młyny, olejarnie, tartaczki i folusze, tu marnowała się i podotąd marnuje tak olbrzymia energia.

Tę energię poczynają zaprzęgać ludzie. I aczkolwiek świat dotychczas wyzyskał zaledwo 8% swoich sił wodnych, to już te siły wodne, owe 20 milionów KW., przewyższają znacznie tę siłę, którą otrzymujemy ze światowej produkcji węgla kamiennego dla celów energenetycznych. Już obecnie siły wodne na świecie pokrywają 60% zapotrzebowanej energii, węgiel zaś 36%.

Węgiel? — Leży on o 250 kilometrów od naszego Okręgu Centralnego. Węgiel? Leży on nad samą granicą Niemiec. To tak, jakby ktoś miał serce w organizmie umieszczone na piersiach, a nie w piersiach.

Nie jesteśmy na to bezradni. Zestawienie ogólnych zasobów energii wodnej w Polsce wykazuje 11,150 milionów KWH energii.

Gdyby nie nieszczęścia, nie byłoby wielkich dzieł na świecie. Gdyby nie groza wojny, zapewne nie byłoby Okręgu Centralnego, który stanie się dobrodziejstwem gospodarczym kraju. Gdyby nie powódź 1934 r. może by dotąd Dunajec służył tylko turystycznym zachwytom.

Ale w 1934 r. narobił strat na 75 milionów złotych.

I tak rok 1934 przeważył szalę cierpliwości i szalę decyzji.

W 1935 r. rozpoczęto budowę zbiornika w Rożnowie.

W ciasnej gardzieli, kędy ongiś Zawisza Czarny miał zamek, kędy istnieją ślady przedwiecznej ludwisarni, a gdzie obecnie w obrębie trzech kilometrów nie śmiał zamieszkać człowiek, choć przecie ta woda rzeczki na codzień wygląda tak idyllicznie i potulnie — zabiegł Dunajcowi drogę inżynier.

Zawrzała praca nad przebudową organizmu Polski. Wypracowano plan budowy zbiorników wodnych i zakładów wodno - elektrycznych. Ma stanąć 27 zbiorników na dorzeczu Wisły, 19 zbiorników na dorzeczu Dniestru. Do 1938 r. wydamy na ten cel 57 milj., do 1941 — 41 milionów, po 1941 r. — 98 milionów. Szklić się w nich będzie spokojnie, dawniej zanarchizowana, wzbierająca co cztery lata powodziami woda i czekać, aż na nią człowiek skinie. A Pan Minister Komunikacji będzie sobie chodzić między tymi zbiornikami, jak zapobiegliwa gospodyni między śpiżarnianymi szafami z pękiem kluczy w ręku:

— Może to tę szafeczkę otworzymy na dzisiaj? A może tę?...

Taką największą szafą ma być zbiornik w Rożnowie.

Inżynier wie, że ta nieduża rzeka w czasie powodzi potrafi robić skok z normalnych czterech na cztery tysiące metrów. Pragnie zmagazynować wodę. Stawia wpoprzek kotliny mur. Zastrzyknął w głąb ziemi na dwadzieścia metrów i wznosi się trzydzieści metrów nad powierzchnią. Ta potworna masa betonu wysokości ogólnej niemal równa wieży Marjackiej, długości pół kilometra, szerokości u podstawy 30 metrów, te 380.000 metrów sześciennych betonu — to jest 300 wielkich sześciopiętrowych kamienic, to cała Marszałkowska zabudowana takimi kamienicami od placu Unii po Ogród Saski.

Jedziemy do Rożnowa w słoneczny dzień letni. Auto wznosi się na wirażach i zapada w dolinę. Teraz jedziemy dnem przyszłego jeziora. Ta góra stojąca w środku doliny i gorejąca w słońcu złocistym czubem jesiennych grabów to będzie wyspa. Będziemy dobijać do niej kajakami i urządzać wesołe majówki. O tę wierzbę, stojącą przy załomku drogi, będą się ocierać ryby.

Wpadamy na teren robót. Pod nogami wznosi się betonowa masa; zdążono już wybudować 95.000 metrów sześciennych. Wyłamano 127.000 wyłomów skalnych, zrobiono już 300.000 metrów sześciennych wykopów. Górą dolina jest zasnuta siecią drutów. Pełzną po nich, ruchome, zmyślne, orientujące się w kierunku, jak wytresowane zwierzęta dźwigi. Wielka brama konstrukcji żelaznej, utrzymująca te druty, wznosi się czarną sylwetą nad do-

liną. Automatyczne kafary z wściekłością tętnią po łbach stalowych pali, wrażanych w głąb ziemi. Po taśmie płynie szara warstwa cementu i leje się, leje w precyzyjnie wybrane punkty. Zdawałoby się, że świat po raz drugi powstaje. I zmęczony jałowością stolicy, gość staje zdumiony i szuka w głębi swojej duszy odpowiedzi, czym jest naród, który tonie w bezsilnych sporach i który potrafi sięgnąć do najwspanialszego słowa, pierwszego, które otrzymał świat, a które brzmi: „stań się!".

Olbrzymia żwirownia, największa pono z istniejących na świecie, dźwignięta kosztem (wraz z taśmowym transportem betonu) trzech milionów złotych wciąga taśmą żwir, zwożony przez kolejkę pobudowaną do Marcinkowic na odległość 18 kilometrów. Żwir wpada w płuczki i w sita, idzie przez szereg bębnów, które sprawnie podają go na coraz wyższe piętra. Beton jest wówczas dobry, gdy wszystkie miejsca między żwirem wypełni piasek, a wszystkie miejsca między piaskiem cement. Troskliwie czuwają nad tym laboranci — niby troskliwa kucharka nad jakością potraw. Co godzina produkuje się sto metrów sześciennych betonu.

Program robót ziemnych wykonany jest już w połowie, zbrojenia żelazne do betonu w dwuch trzecich, sam beton w jednej czwartej. Już 650.000 dniówek mamy za sobą. Wszystko będzie kosztować 43 miliony. Wydaliśmy w tym roku 14 milionów, w zeszłym pięć milionów. Skończymy prace w 1940 r.

Co wówczas będzie? Tu, od tej tamy, rozciągnie się jezioro dwudziestokilometrowej długości. Będzie tak piękne, jak żadne z jezior polskich. Wąskie, bo nie szersze od pół, w najszerszych miejscach kilometr liczące, przypomina jezioro Miossen w Norwegii, którym jechałem pokłonić się Sygrydzie Undset.

Ta woda, którą tu zbierzemy, będzie obfitsza, niż we wszystkich jeziorach tatrzańskich razem wziętych, będzie jej tyle, ile bezmała znajduje się wody w Wiśle od Sandomierza do Warszawy.

Ujarzmianie Wisły

Z dawien dawnych walczono z rzeką i porano się z komunikacją po niej. Wały pierwotne wzdłuż Wisły wzniósł Kazimierz Wielki. Ale gdyby ów brodacz za swoich czasów przejechał się aeroplanem nad Wisłą i teraz lot powtórzył, zobaczyłby, że nic się nie zmieniło w ciągu siedmiu stuleci. Nic tak nie nauczy problemu Wisły, jak przelot nad nią w słoneczny dzień. Wówczas widać, że „królowa rzek polskich", to kałuża płytko po gruncie rozlana, gęsto wywydmiona podwodnymi wydmami, ciurkająca wąskimi przesmykami pomiędzy rozlewiskami zagarniającymi jure caduco obszerne grunta.

Kiedyśmy zbudowali Gdyński wylot we świat, budujemy okręg centralny, odskoczyliśmy z nim od terenów węglowych, kiedy, zbudowawszy tchawicę, teraz budujemy brzuch, serce, wnętrzności, nerki, wątrobę młodego państwa, które tworzymy z ziemi, którą nam Bóg dał, kiedy państwo to złączy — jak kręgosłupem wspaniałym potężny kabel elektryczny, wielki rurociąg gazowy — jakże to będzie z tą kałużą, polaną środkiem kraju, która się rzeką nazywa?

Stworzymy z niej arterię wodną i nośną. Zapomocą tych spiżarń wodnych z których jedną jest Roznów. Za pomocą wałów i regulacji.

Na Przemszy, łączącej Okręg Centralny z basenem węglowym, osiągniemy ruch barek do 100 ton. Od ujścia Przemszy do Krakowa puścimy barki po 150 ton, od Krakowa już 200 tonnowe chodzić muszą. A już od ujścia Sanu, gdzie zacznie działać wodna śpiżarnia Rożnowska, osiągniemy żeglugę 600 tonnowymi barkami. Już od ujścia Sanu będziemy mieli wielką drogę wodną, konkurującą bezapelacyjnie z przewozem lądowym. Do ujścia Sanu, dla tego węgla właśnie przede wszystkim, zrobimy sztuczną drogę wodną również na 600 tonnowce. Wszak w kanał długości 36 klm. od Spytkowic do Krakowa wpakowała Austria, a po niej Polska, 40 milionów złotych, które leżą bezużytecznie zamrożone. Ruszymy to teraz!

Osiągniemy poprawę głębokości w ciągu osiemdziesięciu dni, kiedy potrzebna będzie najbardziej pomoc ze „śpiżarni wodnych", a o czterdzieści dni, kiedy by wogóle nawigacja stanęła, przedłużymy jej sezon coroczny. Osiągniemy lekko transport trzech milionów ton rocznie, co da 19 milionów rocznych oszczędności. Cała regulacja Wisły będzie kosztować sto milionów złotych, koszta więc zwrócą się w ciągu pięciu lat.

Istnieje i wtórny, ale wielki zysk: bezpieczeństwo powodziowe. Pod Krakowem wysokość fali zmniejszy się z 2500 przepływających na sekundę metrów na 1500, w Sandomierzu z 4500 na 3000. To znaczy, że taka powódź jak 1934 r. będzie nam niegroźna, a normalne większe powodzie występujące co 3—4 lata zmniejszą się do t. zw. wody brzegowej. Za to w upalne dni przy trwającej 30 dni suszy starczy nasza spiżarnia na utrzymanie poziomu wody pod Krakowem na 140 cmtr. zamiast 70 dotychczasowych, podwójna głębokość! Pod Sandomierzem osiągniemy 137 cmtr. zamiast 80. Warszawa niewiele skorzysta, nim nie staną zbiorniki na Sanie. Wówczas woda w niej głębsza będzie na 35 centymetrów.

Nie tylko zbiorniki będą regulowały Wisłę, ale i wały.

Będziemy nie tylko w defensywie wobec wody, ale i w ofensywie. Nie tylko będziemy bronić się, by nam nie porywała dóbr ziemskich, ale jej ziemię będziemy wydzierać. Rozradzamy się i ziemi mamy coraz mniej. Zwiększać jej zapasów kosztem lasów nie sposób, bo mniej mamy lasu niż ktokolwiek w Europie. Bagna meliorować na wielką skalę będziemy w czwartej kolejności. Pierwsza — była Gdynia. Druga — okręg Centralny. Trzecia, częściowo uskuteczniana w obrębie i w okresie Okręgu Centralnego — to wielka sprawa Wisły. Musi przyjść kiedyś w Polsce człowiek, którego życia ambicją stanie się być ministrem Wisły, tak jak Kwiatkowski był ministrem Gdyni i zostanie ministrem Okręgu Centralnego.

Więc skoro osuszenie bagien odkładamy, to chociaż teraz będziemy zdobywać pod rolę żyzne ziemie przyrzeczne. W ósmym dziesiątku zeszłego stulecia Austria odwodniła nam sto kilkadziesiąt kilometrów. Za czasów Niepodległości inwestowaliśmy w regulację górnej Wisły 14 milionów, coś niecoś robiliśmy w dolnej, bo nam Niemców było wstyd. W średniej Wiśle wciąż mamy stan jak za Kazimierza Wielkiego.

To jest ciężkie, to jest bardzo ważne zadanie — nie na barki jednego pokolenia. Związać Okręg Centralny z Gdynią. Ale tymczasem w granicach Okręgu Centralnego będzie się robić wiele. Plan przewiduje uregulowanie Wisły od Oświęcima do Krakowa kosztem 32 milionów. Otrzymamy 16.000 ha żyznych nowych pól i uchronimy od zalewu 32.000 ha.

Obecnie roboty wałowe zatrudniają 7000 robotników i 1500 furmanek.

Jesteśmy na polach pod Sandomierzem, gdzie odbywa się obwałowanie i regulacja Koprzywianki. Właściwie chwyta się w arterię wykopaną poprzecznie cztery rzeczki równoległe z Koprzywianką. Długość nowego koryta wynosi 14 klm., długość wałów 27 klm., nasypów będzie 800.000 mtr. sześć., mostów 7, szluz 9, betonu pójdzie 560 mtr. sześć. Kosztować to będzie 3.300.000 zł. Ale ochroni od powodzi obszar 6.000 ha żyznej ziemi.

Po łęgach nad Koprzywnicą uwijają się setki robotników i ciągną długie szeregi furmanek. Robotnicy zapytywani są to bezrobotni, przywiezieni tu z Częstochowy. Furmanki mają dugi. To t. zw. „Holendrzy", mieszkańcy Zabuża, których przodkowie schronili się do Rzeczypospolitej ongi przed prześladowaniem religijnym. zbiałoruszczali zupełnie. W spadku po przodkach mają talent do robót ziemnych, wydajność ich pono jest pięciokrotnie większa i widzimy ich powszędy przy robotach w Okręgu Centralnym.

Nad „Holendrami" i nad Częstochowiakami powiewa wielka zielona chorągiew. Wywiesili ją inżynierowie Arkonii, prowadzący roboty. Patrzyłem na nich z galerii podczas komersu, kiedy gościli Marszałka Śmigłego. Wówczas podemną było morze dekli, wstęgi i rapiery. Teraz, młodzi chłopcy, brną po kostki w piachu w długich butach, w szarych świtach i rozprawiają z ożywieniem. Minister Kwiatkowski pogląda po tym inżynierskim ludzie z rozczuleniem. Rozumie go dobrze.

I tak oto wszyscy pospołu budują tu w tym Okręgu Centralnym.

W pewnej wsi zatrzymujemy auto. Koło chłopa, który przyniósł wypłatę, zbiera się gromada. Czemu się tak przypatrują? Przypatrują się pięćdziesięciozłotówce. Jeszcze takiego banknotu nie widziała wieś Burka i Kosely, wieś kraju „zapomnianego od Boga", który teraz poczyna przodować w Polsce.

Zakłady Południowe

Słuchajcie, słuchajcie! — Opowiem wam o polskim Magnitogorsku, o polskim Magnitostroju. Słuchajcie, słuchajcie. Będę mówił o cyfrach, o faktach. Nie ma co się szminkować w chwyty literackie. Śmieliśmy się, że literaci rosyjscy otrzymują nakazy: „Licom k krolikul" i przez tydzień piszą tylko o potrzebie kopulacji królików w kołchozach.

Jesteśmy całkowicie nastawieni, wszyscy którzyśmy tam byli, „frontem do Okręgu Centralnego". Śmieliśmy się i rozdzielali, kiedy chciano nas stawiać frontem do tego lub owego hasła. Ale tu oczy nasze widziały zmienianą powierzchnię ziemi, uszy nasze słyszały kucie kafarów, ręce nasze dotykały stali i żelaza.

O trzydzieści pięć kilometrów od Sandomierza, od Rozwadowa 6 klm., od Niska 11 klm., tam, gdzie teraz trzyma się na powierzchni wioska Pławie, zakupiono pod budowę wielkich zakładów hutniczych 600 ha terenu.

Jak będą się nazywać zakłady, dowiecie się na końcu. Teraz już powiedzmy, że będą wyrabiały szlachetną stal.

80 ha przeznaczono na budowę. W marcu ścięto pierwszą sosnę. Las to bowiem był prawy, na piaseczku rosnący. Jenerał Scaevola Wieczorkiewicz brnie teraz przy mnie w piasku między stojącymi halami i kręci głową:

— W tym roku jeszcze zimą tu polowałem.

Teraz stoi szereg pawilonów. Tory kolejowe zbudowano nie prowizorycznie dla budowy, a na stałe, poprowadzono po miejscach, nad którymi zasklepiają się ogromne szklone hale. Stoimy właśnie w takim „domku", który jednym dachem nakrywa powierzchnię dwu hektarów. Obok wznoszą drugi, który zajmie przestrzeń trzech hektarów.

Zakłady leżą na osi północno południowej Okręgu Centralnego, przez którą pójdzie linia wysokiego napięcia Rożnów — Mościce — Warszawa, leżą na drodze wielkiego gazociągu z Warszawy. Zakłady będą otrzymywały trojaką energię: elektryczną, gazową i węgiel, uspławioną i przebitą ku Śląskowi Wisłą. Będą mogły pracować bądź tą energią, bądź tą.

Na miejscu stale pracuje 2500 robotników. 6.000 ludzi pracuje dla Zakładów w całej Polsce. Nie mamy za sobą Vickersów, Armstrongów, Schneiderów. Pracujemy wyłącznie polskimi możliwościami. Przecież ręce sobie podały „Zgoda", „Zieleniewski", Ostrowiec, Jenike. Tu będzie stalownia, tam montownia, prasownia, młotownia. Już zabudowano 80.000 mtr. kwadr., milionem metrów sześciennych, już dotąd zużyto 10.000 ton żelaza. Zając wystraszony porywa się przed nami i sadzi wyrwą między dwoma rosnącymi blokami. Górą, wysoko wystrzela nad las wieża ciśnień, którą będzie iść woda z Sanu. Ludzie na jej szczycie uwieszeni wyglądają jak trzmiele. Znowu wchodzimy w halę. Montują w niej właśnie suwnicę, która leciutko będzie dźwigać 60 tonn, podbiegając nad podjeżdżające pod dach wagony i rozwożąc ciężary po pojedyńczych stoiskach.

Następnej hali jeszcze nie zaczęto sklepić. Stoi już szereg żelaznych podwójnych szesnastotonnowych słupów, na których będą się wspierać stropy. Nie są one budowane jak dawniej, szklanymi pochyłymi płaszczyznami. Świetliki są prostopadłe, dachy na nich nieprzejrzyste. Podraża to konstrukcję, ale, miły Boże, czego człek dla „estetyki" nie robi. Po co mają świecić tak wyraziście gościom z powietrza jak lustrzana tafla.

Tu wbijają czternaście pali żelazno betonowych, zakładają poduszkę betonową, na której wesprze się przyszła konstrukcja. Tam pokazują nam miejsce, w którem stanie prasa o sile 1000 ton, tamta znowuż będzie miała siłę 2500 ton, a tu miejsce obliczone i zarezerwowane na niezamówioną jeszcze prasę 5.000 ton.

Zakłady będą zatrudniały 4.000 robotników. Ubezpieczalnia społeczna przygotowuje się na ubezpieczenie 12.000. Dla tych robotników oglądamy wznoszoną kolonię, zaopatrzoną w kanalizację, pralnie, łaźnie, kasyna, boiska.

Zakłady będą produkowały niemal dwakroć tyle, co dziesięcioleciami wznoszona huta Baldon.

Zakłady będą uruchomione drugiego stycznia.

Zakłady, jako że mają wyrabiać stal, będą się nazywały... Stalowa Wola.

d. c. n.

Sł. A. Groniowski

6 listopada r. 1918

Miesiąc październik był tego roku w Polsce—pod względem polityoznym—miesiącem bynajmniej nie jesiennym, lecz przeciwne, prawdziwie wiosennym. Następujące jeden po drugim fakty zapowiadały rychłe i niezawodne odzyskanie niepodległości i — w zasadzie — zjednoczenia. A te —niejako — pąki przyszłych kwiatów wolności wytwarzały nastrój wiosny politycznej. Przyroda jak gdyby solidaryzowała się z tym nastrojem. Wyjątkowo ciepła jesień, pełna podmuchów wiosennych, czyniła — mimo pożółkłych liści — wrażenie wiosny.

Po lipcowym zwrocie w położeniu wojennym całkowite zwycięstwo Koalicji uchodziło już od końca września za pewnik. Spodziewano się, że Koalicja rozstrzygać będzie sprawę polską nieskrępowana nie tylko względami na pobitych nieprzyjaciół, ale również nie licząc się z imperializmem swej byłej sojuszniczki — Rosji, która do chwili rewolucji i przegranej umiała pozostać główną i skuteczną przeszkodą do odbudowy niepodległej Polski. Nie przypuszczano jeszcze wtedy u nas, że w obozie zwycięzców Niemcy znajdą tak silne poparcie przeciw Polsce. Nie wiedziano zarazem, jak dalece widmo Imperium Rosyjskiego wciąż jeszcze hypnotyzowało Europę Zachodnią i długo jeszcze hypnotyzować ją miało.

Tymczasem wydawało się, że rozstrzygnięcie zapadnie wyłącznie na zachodzie, a Polakom przypadnie w udziale jedynie zorganizowanie Państwa na obszarach, które już bezapelacyjnie przyzna Polsce zwycięski koalicyjny ustawodawca świata. Na ogół doceniano trudności organizacyjne, oczekujące Polskę na drodze odbudowy państwowości i urządzenia całego życia wewnętrznego. Nieuzasadniona — jak się potem okazało — była jedynie nadzieja, że wobec majestatu wolności narodu zamilkną spory wewnętrzne. Natomiast przeważnie nie zdawano sobie sprawy, że możliwa i prawdopodobna jest — pomimo zakończenia wojny światowej — nie tylko wojna Polski z sąsiadami o swoje granice, lecz nawet — o niepodległość.

Przekraczający najśmielsze nadzieje finał wojny, przynoszący nieprawdopodobną — zdawałoby się — klęskę wszystkich trzech zaborców, odurzył zgnębione przez niewolę i przez wojnę społeczeństwo polskie. Wywołał wrażenie jakiegoś cudu zewnętrznego, który poza nami, z siłą żywiołu, zamienił zimę niewoli i niedoli na wiosenną zapowiedź wolności.

Na przełomie r. 1916/17 powszechnie rozumiano w Polsce, że rzeczywista budowa Państwa w czasie wojny jest jednoznaczna z wojną przeciw Rosji i że od zwycięstwa nad Rosją zależy powodzenie tego dzieła. Dlatego sprawa wojska — wojska pod władzą polską — stała w centrum zainteresowań młodzieży akademickiej. Jesienią 1918 r., widząc Rosję obaloną, a Niemcy i Austrię w przededniu klęski z rąk Koalicji, przeważnie pozostawano w Polsce w nieświadomości, że niepodległość i granice wypadnie nam wywalczać w wojnie ze wszystkimi prawie sąsiadami i że zwycięstwo Koalicji stwarza dopiero pole dla rozwinięcia polskiego wysiłku wojennego, ale że — jak się potem miało okazać — nie ulegalizuje na naszą rzecz, prócz dostępu do morza, nic więcej ponad to, co ramię polskie samo zdoła utrzymać. Dlatego w tym czasie

w centrum zainteresowań ogółu młodzieży akademickiej stała raczej kwestia, jak ma być urządzona przyszła Polska, niż — jak ją należy wywalczyć na zaborcach i sąsiadach.

Młodzież ideowa rozumiała, że wnet znajdzie się w szeregach i pragnęła tego po czterech latach oczekiwania. Ale nie widząc żadnej szczególnej, poza służbą garnizonową, roli dla wojska w nadchodzącej — zdawało się — dobie pokoju, młodzież nie miała nic o wojsku do powiedzenia.

Tę wiosnę przesadnych nadziei przerwał zamach ukraiński na Lwów w nocy z października na listopad. Wieść o tym przybyła do Warszawy 2 listopada i została podana do wiadomości publicznej przez rząd Rady Regencyjnej. Ten fakt zakończył polską wiosnę polityczną, która przypadła — na jesieni. Stało się jasne, że Polska zbrojną ręką będzie musiała zakreślać swoje granice. Młodzież akademicka ujrzała przed sobą konkretny cel służby wojskowej — odzyskanie granic należnych i niezbędnych dla Ojczyzny.

Entuzjazm wojenny, wzmagany przez wieści nadchodzące ze wschodniej Galicji, szybko ogarniał młodzież. Jednostki, nie czekając na ogół, wyjeżdżały na teren rozwiązującej się okupacji austriackiej, aby tam wstępować do formujących się oddziałów polskich i iść na odsiecz Lwowa.

Ogłoszenie szefa sztabu generalnego z 1.XI. o utworzeniu kursów oficerskich dla jednorocznych ochotników — akademików, którzy mieli uczęszczać na te kursy nie przerywając studiów, przeszło bez wrażenia. Zrodziło się w atmosferze organicznej, systematycznej rozbudowy Państwa, dokonywanej przed zamachem ukraińskim. Teraz było spóźnione. Wszyscy rozumieli już, że tworzenie wojska stało się najpilniejszą potrzebą Polski, i że chodzi o jak najszybsze formowanie licznej armii. Wielotysięczna masa akademicka, w znacznej mierze pozostająca pod wpływami P. O. W. i trzech niepodległościowych organizacyj ideowych młodzieży Organizacji Młodzieży Narodowej, Organizacji Niepodległościowej „Zarzewie", „Filarecji" i Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, przeznaczona była w tych warunkach do gremialnego wcielenia do armii i odegrania w niej roli elity moralnej, tem ważniejszej, że nie było pewności, jakie nastroje ujawnią się w masach ludowych z chwilą uwolnienia kraju z pod hamującego wpływu okupacji, odcinającej go od zewnątrz i tłumiącej jego rozwój wewnętrzny.

Jednak — poza wyjazdem na południe garstki jednostek gorętszych, niezaangażowanych politycznie — żadne konkretne plany nie ujawniły się w masie akademickiej. Czekano na znak z góry, na ujawnienie woli czynników, które brały na siebie odpowiedzialność.

Znak dał jednak kto inny: nie władza rządowa i nie stronnictwa polityczne, lecz organizacje ideowe młodzieży.

Dnia 3 listopada Organizacja Młodzieży Narodowej z inicjatywy dwóch członków: Stanisława Józefa Paprockiego i Stanisława Sadkowskiego, sierżanta I brygady Legionów, spowodowała zwołanie na dzień następny naczelnej politycznej reprezentacji warszawskiej młodzieży akademickiej — Konferencji Ogólno-Akademickiej i zaproponowała na niej zwołanie wieców akademickich w celu powzięcia uchwały: 1) natychmiastowego wstąpienia całej młodzieży do wojska, 2) zamknięcia wyższych uczelni. Inicjatywa Młodzieży Narodowej spotkała się odrazu — już w czasie zwoływania Konferencji — z entuzjastycznym przyjęciem ze strony innych organizacji ideowych. W ciągu 2 i 3.XI bowiem pod wpływem wieści o zamachu ukraińskim na Lwów samorzutnie zbudziło się wśród patriotycznej młodzieży przekonanie, że nadszedł czas czynu — czas wstąpienia do wojska. Inicjatywa O. M. N. skonkretyzowała i zestrzeliła w jedno ognisko te samorzutne, nie zorganizowane początkowo odruchy.

Wnioskodawcy stanęli na stanowisku powszechnej obowiązkowej służby wojskowej akademików. Stanowisko to podzieliła cała Konferencja — z wyjątkiem Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Przeciw narzucaniu służby wojskowej w drodze przymusu Socjaliści Niezależni wystąpili ze względów zasadniczych, nie zaś praktycznych. Co do siebie samych — oświadczyli się za wstępowaniem do wojska.

Ze sprzeciwem Socjalistów Niezależnych spotkał się w szczególności wniosek o zamknięcie wyższych uczelni. Postawiono go z dwóch powodów. Po pierwsze widziano w nim pewien środek popierający wykonanie przyszłej uchwały wiecowej o wstępowaniu do wojska. Po wtóre— i o to głównie chodziło — obawiano się, że ogromna część studentów Żydów nie solidaryzowałaby się z uchwałami wiecowymi i nie wstąpiłaby do wojska. Wtedy zaś wytworzyłaby się taka sytuacja, że podczas gdy Polacy ze szkodą dla własnego wykształcenia i dla cywilnych potrzeb Polski pełniliby służbę wojskową, Żydzi, uchylając się od niej, zdobywaliby masowo wyższe wykształcenie. Zamknięcie wyższych uczelni wydawało się inicjatorom środkiem zapobiegawczym przeciw temu, a zarazem dawało się łatwo obronić pod względem zasadniczym, jako postulat demokratyczny, oparty na zasadzie równości praw i obowiązków. Pogląd ten, przedstawiony z całą szczerością na Konferencji, podzieliły wszystkie organizacje młodzieży polskiej z wyjątkiem Socjalistów Niezależnych.

Opozycja wychodziła z dwóch przesłanek. Na pierwszym planie stała teoretyczna zasadnicza niechęć socjalistów do stosowania przymusu, o czym wspominaliśmy już wyżej. W tych czasach przed — czy półpaństwowych młodzież socjalistyczna nie zdołała jeszcze przezwyciężyć w sobie psychiki pięknoduchów. Na drugim planie wysuwano wzgląd, że wojna nie powinna spowodować kompletnego zastoju w życiu umysłowym i w oświacie, że zawsze znajdą się studenci niezdatni do służby wojskowej oraz studentki, przed którymi nie należy zamykać uczelni, że wreszcie zagranicą wyższe uczelnie są czynne mimo toczącej się wojny. Argumenty te nie przekonały pozostałych członków Konferencji, którzy z powodu wyjątkowo ciężkiego i niebezpiecznego położenia Polski chcieli skierować do wojska cały wysiłek młodzieży akademickiej. Zresztą spodziewano się powszechnie, że takie trudne warunki, wymagające od młodzieży wyjątkowo wyłącznego oddania się wojsku, nie potrwają długo. Miano na myśli zarówno względy rzeczowo-wojskowe — wystawienie kilku tysięcy żołnierzy, jak moralno-wojskowe i agitacyjne — stworzenie kilkotysięcznej pełnej entuzjazmu kadry inteligenckiej, dającej młodzieży innych sfer przykład ofiarności.

Konferencja—wbrew Socjalistom Niezależnym zaopatrzyła nawet ustanowienie powszechności i obowiązkowości służby wojskowej w skuteczną sankcję. Zgodzono się na zakaz dopuszczania spowrotem do studiów tych studentów, którzy nie wykażą się odbytą służbą wojskową, względnie świadectwem niezdatności do służby.

Mimo tej zasadniczej zgodności całej prawie Konferencji nie doszło do uchwały. A to dlatego, że odrazu wypłynęła kwestia polityczna: komu, jakiej władzy młodzież oddać ma swoją służbę.

Rada Regencyjna — jedyny wtedy zorganizowany Rząd Polski — nie cieszyła się sympatią, ani powagą zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej.

Było to nazajutrz po odezwie rządu Świerzyńskiego, wzywającej do utworzenia koalicyjnego rządu narodowego, a wydanej bez wiedzy Rady Regencyjnej, za co Rada Regencyjna tego właśnie dnia udzieliła dymisji gabinetowi.

Walka o władzę była już rozpoczęta. Toczyła się między trzema czynnikami: bezsilną Radą Regencyjną, lewicą niepodległościową i Demokracją Narodową. Obie ostatnie uchodziły za potęgi o nieznanych siłach. Zarówno lewicy, jak Demokracji Narodowej chodziło o to, aby Rząd powstającego Państwa dawał gwarancję prowadzenia polityki, niezależnej od obcych wpływów, a zarazem, aby odpowiadał potrzebom społecznym, reprezentowanym przez te przeciwstawne ugrupowania partyjne. Rada Regencyjna uchodziła w oczach jednych i drugich za skompromitowaną przez swą poprzednią ugodowość wobec okupantów, której ślady niezręcznie zacierano. Natomiast konserwatywny jej charakter społeczny w oczach lewicy dobijał ją, gdy w oczach prawicy przeciwnie — czynił możliwym ułożenie z nią jakiegoś przejściowego modus vivendi — po którym Demokracja Narodowa spodziewała się ujęcia steru rządów bez wstrząśnień, uważając, że z logiki wypadków przewaga w rządzie przypadnie tym, którzy od początku wojny stali po stronie zwycięskiej obecnie Koalicji zachodniej. Prawica więc chętnie brała udział w organizowaniu władz miejscowych, zarówno z ramienia Rady Regencyjnej (na okupację austriacką 31 października był już wyznaczony komisarz Rady Regencyjnej), jak niezależnie od niej (w Galicji zachodniej tegoż dnia objęła władzę międzypartyjna Polska Komisja Likwidacyjna). Liczyła, że beatus qui tenet, a całość — sama przyjdzie.

Lewica nie kwapiła się do współrządów u boku N. D. Chciała ich wyłącznie dla siebie. Ale jeszcze nie znalazła drogi do swego celu. Jak Narodowa Demokracja oglądała się na Paryż, oczekując, że po zawieszeniu broni stamtąd, z Komitetu Narodowego Romana Dmowskiego przyjdzie plan i przyjdą środki działania — tak lewica oglądała się na Magdeburg, oczekując, że klęska Niemiec powróci krajowi Piłsudskiego, a ten za wszystkich pomyśli i wszystkim pokieruje. Ale upadek rządów austriackich w Galicji i okupacji austriackiej w Królewskie zmusił lewicę do działania natychmiastowego. Zaczęły się na tych terenach organizować oddziały b. Legjonistów. Na Lubelszczyźnie powstawał ośrodek legionowo-peowiacki pod wodzą pułk. Śmigłego-Rydza, komendanta głównego P. O. W. A Śmigły odmówił poddania się Radzie Regencyjnej. Lewica zmuszona została do pośpiechu, jeżeli nie miała stracić kart przed ich rzuceniem na stół.

d. n.

Roman Piotrowicz

Kolonialne i surowcowe zagadnienia Polski

Mimo ciągłych alarmów wojennych i prawdziwych nawet wojen, zagadnienia kolonialne i surowcowe nie przestają zajmować uwagi świata. Świadczą o tym, tak obrady rozmaitych organów Ligi Narodów, jak i publiczne oświadczenia mężów stanu rozmaitych państw.

Gospodarcza i populacyjna sytuacja Polski zmusza ją bardziej niż każde inne mocarstwo do bacznego czuwania nad międzynarodowym przebiegiem tych zagadnień. Parokrotne wystąpienia przedstawicieli Rzeczypospolitej w Genewie sformułowały oficjalne polskie poglądy na sposoby rozwiązań tych problemów i słusznie, jak się nam zdaje, ujęły kolejność ich rozstrzygnięć. Wysuwając bowiem na pierwszy plan konieczność przywrócenia wolności ruchów dla rąk roboczych i znalezienia międzynarodowych funduszów dla ich zatrudnienia, umożliwia się równoczesne zwiększenie produkcji surowców, bardziej równomierną ich dystrybucję, a także i spotęgowanie międzynarodowej siły konsumcyjnej.

Zagadnienia emigracyjnej wolności sił ludzkich, mogących zwaloryzować wielkie zasoby kopalniane i szerokie możliwości rolnicze krajów kolonialnych, nabierają dla Polski szczególnego zgoła znaczenia. Jej bowiem terytoria, jako cierpiące specjalnie na przeludnienie rolnicze, dysponują elementem tak koniecznym w dziewiczych i rozległych terytoriach kolonij, a tak równocześnie ciążącym nad gospodarstwem społecznym Polski i hamującym jego rozwój. Ponadto różnonarodowy skład ludnościowy polskich terytoriów, a szczególnie zbyt jednostronna struktura społeczna niektórych z mniejszości narodowych, dzięki przywróceniu wolności emigracyjnej mogą też ulec korzystnym przemianom. W tej ostatniej zresztą dziedzinie Polsce przysługuje niewątpliwie specjalne uprawnienie, płynące z aktów międzynarodowych, budujących siedzibę narodową Żydów na emigracyjnym elemencie z krajów ich przeludnienia.

Jeżeli sprawy emigracyjne wysuwają się w polskich zagadnieniach kolonialnych na naczelne miejsce, nie mniejszą wagę posiadają dla Polski zagadnienia znalezienia nie krępowanego dostępu do rozmaitych surowców i żywnościowych artykułów kolonij *) dla zapewnienia koniecznego rozwoju przemysłowego, mogącego zmniejszać stopniowo skalę przeludnienia Polski i podnosić stopę życiową jej obywateli. Już obecnie musimy się troskać o udostępnienie nam zamorskich źródeł surowcowych. Do tegoż samego zmusza nas potrzeba zapewnienia rozwoju naszej zainicjowanej wielkimi ofiarami gospodarce morskiej. Dążąc do osiągnięcia najwyższego stopnia samodzielności, każde z państw nie szczędzi dziś największych nawet ofiar na rozbudowę własnej floty handlowej, umożliwiającej niezależny handel w najodleglejszych nawet dziedzinach globu. W zrodzonej z tego rywalizacji między narodami najwłaściwszym stosunkowo sposobem zapewnienia rozwoju tej floty jest stworzenie możliwych warunków importowania towarów pod własną banderą. Łatwiej jest bowiem narzucić swe warunki dostawy sprzedawcy, nieustannie poszukującemu kupców, niż dokonać tego z własnym klientem, tym bardziej gdy się jest ponadto zaledwie początkującym w dziedzinie przewozów morskich. Ponieważ nasz przywóz składał się dotychczas przeważnie z towarów gotowych, nie wymagających dla swego transportu dużego tonażu, przeto też znalezienie własnych zamorskich źródeł masowych ładunków surowcowych może znacznie ułatwić przyszły rozwój tej floty, a tym samym zapewnić większą niezależność gospodarstwa narodowego.

Wysuwając swe dezyderaty kolonialne i surowcowe na forum międzynarodowym, Polska nie występuje bynajmniej w charakterze petenta, lecz jako równowartościowy członek społeczności narodów, wnoszący swe walory dla zorganizowania przyszłej współpracy. Ścisła bowiem współzależność gospodarcza państw zmusza z jednej strony do waloryzowania całości terytoriów i zasobów surowcowych kolonij, z drugiej natomiast do podniesienia stopy życiowej mieszkańców metropolij i kolonij. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku, współdziałanie Polski, umożliwione dzięki dostępowi, w tej lub innej formie, do surowców kolonij i ich terenów osadniczych, przyniesie korzyści całej tej społeczności narodów. Polski kolonista podniesie wartość użytkową leżących dotychczas odłogiem terytoriów kolonialnych, a polski robotnik, pozostały w kraju, zwiększy jego chłonność na obcą także produkcję.

Jeśli jednak polskie postulaty kolonialne dostatecznie są uzasadnione ewolucją gospodarczego i prawnego współżycia narodów, to należy pamiętać, że wszelkie ewentualne zmiany w tytularzu kolonialnym uzasadnia tylko potrzeba spotęgowania eksploatacji tych terytoriów. Stąd też koniecznym jest żeby nowy reflektant na kolonialnego posiadacza dysponował dostatecznymi zasobami finansowymi i odpowiednim doświadczeniem w zagospodarowaniu własnych przede wszystkim terytoriów. Istotę tego ostatniego warunku w całej pełni zrozumieli Niemcy, natomiast właśnie kładące specjalny nacisk w swych nieustannie ponawianych rewindykacjach kolonialnych.

Że w tej dziedzinie dziejowe warunki rozwoju pozwoliły Niemcom na znaczne nas wyprzedzenie, nie da się tego niewątpliwie zaprzeczyć. Tym nie mniej w dziedzinie naszych możliwości zagospodarowania kolonij dysponujemy czynnikiem, który daje nam znaczne przed nimi pierwszeństwo. Czynnikiem tym jest uporczywie wytrwały rolnik, bez którego jest nie do pomyślenia żadna praca kolonizacyjna. Transformacja bowiem robotnika przemysłowego w rolnika kolonialnego nie daje absolutnie żadnych rezultatów i pociąga najczęściej za sobą olbrzymie jeszcze koszty jego repatriacji, jak boleśnie o tym przekonała się Wielka Brytania w swych kanadyjskich i australijskich doświadczeniach. Stąd też, dążąc wszelkimi siłami do najkompletniejszego możliwie zagospodarowania własnych terytoriów, oraz przygotowując teren dla przyszłych naszych rozwiązań kolonialnych, winniśmy wykorzystać ten tak ważki w rozgrywkach kolonialnych czynnik rolniczej siły emigracyjnej. Ogólna międzynarodowa sytuacja polityczna może znacznie nam ułatwić to zadanie. Rozwojowe bowiem warunki licznych kolonij upoważniają do uogólnienia powiedzenia pewnego niemieckiego autora o Australii, że: „Albo stanie się ona dobrowolnie europejską, albo przymusowo żółtą".

Usiłowanie jak najszerszego otwarcia dróg do zamorskich surowców i terytoriów kolonizacyjnych jest, jak wiadomo, jednym z najpoważniejszych zagadnień Polski. Nasza jednak geograficzna sytuacja za wąskim przejściem cieśniniowym (Kattegat — Skagerak), oraz długie jeszcze prawdopodobnie lata kłopotów finansowych i trosk o gospodarcze urządzenie własnych terytoriów, nie pozwolą nam na snucie zbyt fantastycznych planów o budowie potężnego imperium kolonialnego. Nie angażując się więc na własną wyłącznie tylko rękę w dalekie przedsiębiorstwa kolonialne, mogące przysporzyć nowych jeszcze wrogo usposobionych sąsiadów, możemy jednak myśleć o zaofiarowaniu naszej w tej dziedzinie współpracy innym potrzebującym tego mocarstwom. A o tym że mocarstwa te, z coraz bardziej zanikającym przyrostem naturalnym, będą potrzebować współpracy któregoś z dynamicznie prężnych narodów Europy, świadczą dostatecznie wypadki paru ostatnich zaledwie lat.

Czy możliwa jest taka, korzystna dla obu stron, współpraca?

Pytanie to skierowuje nasze myśli ku Afryce Południowej i Kanadzie, gdzie szerokie polityczne i kulturalne uprawnienia Holendrów i Francuzów, zwarcie osiadłych w pewnych rejonach, nie przeszkadzają bynajmniej korzystnemu ich współżyciu w ramach ich dominialnej ojczyzny i całego brytyjskiego imperium. Rozszerzenie analogicznych uprawnień na Niemców Afryki Zachodniej napotyka trudności ze strony raczej tych ostatnich, zbytnio zaabsorbowanych rozpowszechnianiem hasła „Zurück zum Reich". Ostatnie to doświadczenie zmusić może kolonialne metropolie do poszukiwań współpracy z takimi tylko państwami, których sytuacja geograficzna i bardziej realistyczny umysł nie pozwolą na takie marzenia.

Równowartość świadczeń, dostarcza-

———————

*) Pewien obraz polskiego pod tym względem upośledzenia, jak i udziału kolonij w produkcji surowcowej świata i metropolij, dają nasze obliczenia, przeprowadzone w „Sprawach Morskich i Kolonialnych". (Zeszyt I-II, 1937).

nych metropolii kolonialnej przez obce, z nią współpracujące, państwo, dostatecznie go upoważnia do żądania właściwych za to ekwiwalentów. Gwarantować one też muszą przede wszystkim, że kolonista polski, mający użyźniać dziewicze łany dalekich kolonij, nie będzie zmuszany do wynaradawiania się, lecz, że osadzany w zwartych masach na teernach określonych prowincyj, będzie mógł zachować ścisłe związki kulturalne z macierzą. Też same gwarancje muszą dać pewność nie skrępowanego korzystania z gospodarczych osiągnięć jego kolonizacyjnych poczynań i zapewnić jak najdogodniejsze i planowe czerpanie z surowcowych zasobów kolonizowanych przez niego prowincyj.

Na marginesie

AMBASADY

W dniu 26 czerwca komunikaty oficjalne i półoficjalne doniosły w tytułach o „podniesieniu poselstw Rzplitej i Rumunii do rangi ambasad". Treść tych komunikatów powiadamiała nas, że Polska „ma zamiar" podnieść poselstwo swe do rangi ambasady, a Rumunia „myśli o możliwości" ustanowienia ambasady rumuńskiej w Warszawie. Otóż „podniesienie", „zamiar podniesienia" i „możliwość" tego — są to rzeczy różne.

Od pierwszej chwili było widoczne, że w kwestii ambasad istnieje pewna różnica zdań między Polską a Rumunią. Powstrzymaliśmy się wówczas od zadania pytania, czy było celowe podawanie do wiadomości publicznej zamiarów jeszcze nie sprecyzowanych. Nie chcąc osłabiać wrażenia wizyty króla Karola, nie czyniliśmy również uwag następujących. Polska jest jedynym państwem Europy Środkowo - Wschodniej, które posiada ambasady. Ta okoliczność daje Polsce w Europie wyjątkową pozycję dyplomatyczną. Pozycja ta byłaby nieco osłabiona, gdyby Rumunia stała się drugim państwem środkowo - wschodnim, posiadającym ambasady. Istnieje bowiem prawdopodobieństwo, że śladem Polski poszłyby inne mocarstwa i podniosły do rangi ambasad swe poselstwa w Bukareszcie.

Posunięcie z ambasadami było dla Polski niebezpieczne i z innych względów. Wyszły one na jaw przy obradach Stałej Rady Małej Ententy w Sinaia. Jak donosił 31 sierpnia „Le Temps", Rada Ententy „rozważyła sytuację, wytworzoną decyzją polską.. Rząd rumuński zgodził się nie przystąpić do zamiany poselstw na ambasady inaczej, jak w zbieżności z Jugosławią i Czechosłowacją". Ponieważ w obecnych warunkach utworzenie w Bukareszcie ambasad czechosłowackiej i jugosłowiańskiej nie jest możliwe, więc wygląda na to, że plany polskie zostały w Sinaia pokrzyżowane przez pozostałych sojuszników Rumunii, którzy nie życzą sobie, żeby Polska była w Bukareszcie sojusznikiem dyplomatycznie uprzywilejowanym. Jeżeli zaś nasza ambasada zostanie ostatecznie utworzona w warunkach, jakie miano ustalić w Sinaia, to posunięcie, dokonane w czerwcu w Warszawie, doprowadzi do wyniku negatywnego. Polska nie zyska wyjątkowej pozycji dyplomatycznej w Bukareszcie, nadto zmaleje znaczenie prestiżowe wszystkich jej ambasad, które będzie niejako zdewaluowane faktem uzyskania ambasady przez stosunkowo małe państwa jak Czechosłowacja, czy Jugosławia.

Wiadomości, jakie ukazały się w prasie zagranicznej po konferencji w Sinaia, wywołały w opinii polskiej zrozumiałe niezadowolenie. Pewnie nie bez związku z tym korespondent Pata w Bukareszcie „dowiedział się (6 września) z tutejszych kół politycznych", że „ustalenie definitywnego terminu" utworzenia ambasad polskiej i rumuńskiej „nastąpi w najbliższych dniach". Lecz minęły dni najbliższe. Minęły nawet dwa najbliższe miesiące, a o ambasadach nic nie słychać. Czy ma to oznaczać, że ich utworzenie odłożono ad calendas graecas?

Inaczej jest ze sprawą ambasady polskiej w Tokio i japońskiej w Warszawie. Decyzję w tej sprawie — powziętą już dość dawno — wprowadzono teraz w czyn. Rzecz charakterystyczna: wybrano akurat moment, kiedy pragnące pokoju 90% ludności świata (według określenia prezydenta Roosevelta) potępia Japonię jako napastnika.

MOBILIZACJA PODOBIEŃSTW IDEOWYCH

Stwierdzenie, że społeczeństwo polskie znajduje się w fazie dekompozycji dotychczasowych członów organizacyjnych, nie oddaje dokładnie istoty zachodzących w kraju przemian. Należało by to uzupełnić spostrzeżeniem, że przechodzimy okres świadomej i nieświadomej mobilizacji czynników, które tę dekompozycję pogłębiają.

Mobilizacja ta polega między innymi na tym, że opinia kształtowana przez prasę, zajmuje się głównie omawianiem i podkreślaniem rozbieżności ideowych, różniących między sobą rozmaite ugrupowania społeczne. Nawet ta część prasy, która — szczerze czy nieszczerze — mieni się współpracowniczką akcji zjednoczeniowej, niezależnie od tego, którą, z akcji „zjednoczeniowych" popiera — nie zadaje sobie naogół trudu świadomego i celowego analizowania podobieństw ideowych grup, należących do przeciwstawiających się w danej chwili kierunków.

Uwagi te nasunęły się nam przy przeglądaniu prasy polskiej z ostatnich dni października, w których odbyły się Kongresy Klasowych Związków Zawodowych pozostających w kontakcie z P. P. S. i „Zjednoczenia Polskich Związków Zawodowych", utworzonego pod egidą Obozu Zjednoczenia Narodowego. Jeśli gdziekolwiek zestawiono wyniki obrad Kongresów obu organizacji, to zwrócono uwagę jedynie na istniejące momenty podziału.

Nie mamy oczywiście zamiaru, czyniąc tylko uwagi „Na Marginesie", przeprowadzać analizy porównawczej dorobku myślowego Kongresów. Chcemy jednak zwrócić uwagę na to, że uchwały Kongresów można było również komentować z punktu widzenia istniejących momentów łączących.

Weźmy dla przykładu sprawy ustrojowe.

Prezes Związków klasowych, p. Kwapiński, wołał, że „walka o nowy demokratyczny sejm jest dziś wspólną walką całego świata Pracy w Polsce — wspólną walką wszystkich czynników demokratycznych". Czyżby Zjednoczenie Polskich Zw. Zaw. było innego zdania? Bynajmniej, ono również pragnie demokracji, demokracji nowej, zdolnej „przebudować Polskę". Trzeba także przypomnieć, że deklaracja ideowa Kongresu Z. Z. Z. (7.III.1937), od którego odłączyły się grupy składające się dziś na Zjednoczenie P. Z. Z., zawierała tezę identyczną: „Dotychczasowy ustrój parlamentarny, wyrosły z potrzeb pierwotnego ustroju kapitalistycznego, nie odpowiada wymogom przyszłości, ani nawet chwili obecnej... klasa pracująca nie ma żadnego interesu w przywracaniu stosunków politycznych i parlamentarnych z przed maja 1926". Istnieje więc tu zbieżność opinii: Polsce potrzeba demokracji, ale demokracji nowej, nie podobnej do przedmajowej.

Ostatni Kongres Związków Klasowych uchwalił rezolucję w sprawie „walki z faszyzmem". Jeżeli pominiemy moment ostrości sformułowań, to istotą wszelkich rezolucji tego typu jest chęć zamanifestowania, że ustrój faszystowski jest dla Polski nieodpowiedni i przed próbami narzucenia go trzeba się bronić. W sprawie tej Z. Z. Z. wypowiedział się 7 marca, że „w stosunku do przenoszenia na grunt polski ustrojów państw obcych trzeba stwierdzić, że te ostatnie, jako powstałe na odmiennym gruncie, nie odpowiadają ani właściwościom psychicznym narodu polskiego, ani dążeniom ideowym mas ludowych, ani wreszcie polskiej strukturze społecznej". Stanowisko Związków, które obradowały ostatnio, wyrażone w deklaracji ideowej z 24 października, jest identyczne (podkreślenia nasze): „kształtowanie... form życia społecznego musi opierać się nie na obcych wzorach lub formułkach, ale odbywać się wedle warunków istnienia; wedle praw dziejowych i woli naszej własnej". Jeżeli zaś deklaracja ideowa Zjednoczenia P. Z. Z. podkreśla dalej: „Przyjmując te naczelne wskazania nie ograniczamy się do wyznawania tylko tych prawd; postanawiamy je w praktyce naszego życia i pracy w czyn wprowadzić" — to czyż nie jest to dowód, że gdyby ktoś próbował Polsce obce wzory chytrze czy otwarcie i brutalnie narzucić, wówczas Zjednoczenie wyrazi swe negatywne do obcych wzorów stanowisko czynem i wypowie im walkę?

Można nam oczywiście zarzucić, że mówimy tu o ogólnych dążeniach, a rozbieżności leżą w szczegółach oraz w środkach i metodach używanych dla osiągnięcia celu zbieżnego. Lecz właśnie chodzi o to, żeby przez podkreślanie i przypominanie istniejących podobieństw w ogólnych, wielkich celach, pomniejszać ewentualne dzielące znaczenie spraw drugorzędnych i środków działania.

Przeprowadzenie inwentarza, czy mobilizacji podobieństw ideowych w programach grup, które obecnie stanęły w rozmaitych punktach naszej linii politycznej, odegrałoby nie małą rolę w procesie konsolidacji społeczeństwa. Przypomnimy po raz drugi słowa Józefa Piłsudskiego, wypowiedziane w roku 1919: „Podstawą zgody może być tylko praca, nie żądająca od nikogo wyrzeczenia się swojej indywidualności, wyrzeczenia się swoich myśli. Rzetelna zgoda i jedność oparta być może jedynie na współpracy, a nie ekskluzywności". A jak osiągnąć w społeczeństwie zgodną współpracę przy uszanowaniu odrębności cudzego zdania? — Chyba tylko przez mobilizację możliwie wielkiej ilości istniejących zbieżności ideowych i programowych.

STRONNICTWO NARODOWE

Może ma i rację Stronnictwo Narodowe ukrywając skrzętnie swój program polityczny. Bo przecież: wołało się „precz z żydo - komuną", biło się żydów, samemu brało się tu i owdzie rózgi w komisariacie, i cóż wynikło z tego ujawnienia kardynalnego punktu programu i usiłowań jego realizacji? Przez „wyłom", wybity endeckim uporem, weszli na widownię polityczną neo - antysemici, którzy jednak za przesadzanie żydów na osobne ławki nie byli brani do komisariatu i conajwyżej dostaną... rózgi liktorskie.

Jednym słowem praktyka zdaje się potwierdzać tezę Stronnictwa: nie ujawniać programu, nie starać się go nawet częściowo realizować, dopóki nie dojdzie się do władzy. I dlatego też — dla ogółu conajmniej — Stronnictwo Narodowe nadal jest stronnictwem bez programu.

Trzeba wierzyć, że Stronnictwo Narodowe jakiś program posiada i że ten program jest konstruktywny. Ale jak wierzyć w to, że ktoś ma koszulę pod ubraniem, kiedy przy każdym jego ruchu odsłania się golizna? Taką właśnie golizną były podane do wiadomości publicznej okruchy uchwał Rady Naczelnej Stronnictwa, która obradowała w Warszawie 24 października.

Co np. oznacza taki zwrot: „Rada Naczelna...

omawiała niebezpieczne zaniedbania w naszej polityce zachodniej, która — mimo istniejących traktatów — wymaga dużej czujności, aktywności i wszechstronnego wysiłku organizacyjnego". Chcielibyśmy wiedzieć, jaka to polityka nie wymaga czujności i aktywności? Może nasza polityka wschodnia? Może „polityka dryndziarska", o której pisał jeden z warszawskich dzienników? Stanowisko Stronnictwa Narodowego w odniesieniu do naszej polityki zagranicznej jest zaiste enigmatyczne.

Mówiąc o polityce wewnętrznej Rada rozdziera szaty. „Wobec zamieszania w opinii, jakie wywołują dotychczasowe bezpłodne wysiłki wyjścia z obecnego kryzysu politycznego Rada Naczelna zleciła organizacji Stronnictwa wytężenie sił celem dalszego organizowania społeczeństwa na zasadach programu narodowego i jasnych dążeń do państwa narodowego". Ale jakim to sposobem można organizować społeczeństwo w myśl jasnych dążeń i na zasadach jakiegoś programu, kiedy ukrywa się z zasady wszystkie swoje konkretne i pozytywne dążenia i program? — Zagadki, same zagadki!

Rada Naczelna stwierdza również, że zadaniem Obozu Narodowego jest „walka o urzeczywistnienie państwa narodowego opartego na zasadach nauki Chrystusowej". I tu znów wyłania się sprzeczność: jak pogodzić miłość bliźniego z propagowaniem idei konstytucyjnego odebrania żydom pełni praw obywatelskich? Zdaje się że Stronnictwo ograniczy owo budowanie państwa narodowego do jednej tylko nauki Chrystusowej: „Kto we mnie wierzy ten będzie zbawiony".

Jedyne, o których wiemy, realne dążenia Stronnictwa Narodowego są to dążenia monopartyjne. Zaakcentowały się one przez wybór na prezesa Stronnictwa adwokata Kowalskiego. Jest on, jak wiadomo, indywidualnością więcej organizacyjną jak doktrynalną, jest jednostką dynamiczną i bezwzględną, nie kryje się również ze swym przekonaniem iż „non es salus extra endecja".

Antysemityzm i marzenia o totalizmie, ubóstwianie Hitlera i Mussoliniego, nie mogą jednak wypełnić próżni, wytworzonej przez brak jakiegokolwiek pozytywnego programu.

Czym jest dziś Stronnictwo Narodowe? — Próżnia ideowa, koturny, marzenia..

RADA NACZELNA Z. H. P.

Do dnia 1 listopada znaczna część prasy — przede wszystkim więc organy endeckie i konserwatywne — uderzały nieustannie w ton zapowiedzi sensacyjnego przebiegu Rady Naczenej Związku Harcerstwa Polskiego, na której miała być zapewniona poważna większość dla wniosku, żądającego zerwania przez Harcerstwo nawiązanej współpracy ze Związkiem Strzeleckim, Związkiem Młodej Wsi oraz Organizacją Młodzieży Pracującej.

Zebranie Rady Naczelnej odbyło się. Wniosek o aprobacie nawiązanej współpracy przeszedł wyjątkową większością 52 głosów za, przeciwko 2 głosom opozycyjnym. Jeśli się zważy, że owe 2 głosy przeciwne oznaczały rezultat dwutygodniowej wytężonej mobilizacji sił różnorodnych, zjednoczonych we wspólnym froncie przeciwko Prezesowi Związku, woj. Grażyńskiemu — rezultat ten trzeba uznać za niezmiernie wymowny. Oznaczał on całkowitą klęskę przeprowadzonej mobilizacji, zdecydowane odrzucenie troskliwie i z pogwałceniem rzeczywistości gromadzonych argumentów.

I cóż widzimy w wyniku? — Czy przyjęcie tak jednolitego stanowiska Rady Naczelnej, jako zdecydowanego odrzucenia sugestii o rzekomej samowoli w decydowaniu o podpisie Związku Harcerstwa? — Nie! — Ton jest zupełnie inny, lecz jakże charakterystyczny! — Zarówno prasa endecka, jak szereg pism konserwatywnych, próbuje nowej metody argumentowania, polegającej na zapowiedziach, że teraz odwołać się trzeba do opinii poszczególnych zastępów harcerskich, by te protestowały przeciwko stanowisku Rady Naczelnej. Będzie to akcja piękna, wychowawcza i apolityczna.

Realna wartość tych zapowiedzi jest bez znaczenia. Natomiast jako symptom poziomu moralnego i braku poczucia odpowiedzialności tych, którzy je głoszą, są one bardzo znamienne.

ZŁAGODZENIE KARY — ZAOSTRZENIE SĄDU

Dnia 27 października r. b. w Sądzie Okręgowym w Warszawie była ponownie rozpatrywana sprawa red. Mackiewicza z oskarżenia woj. Grażyńskiego o zniesławienie, zawarte w dobrze znanym czytelnikom naszego pisma artykule „Führeria bez ideologii".

Przebieg sprawy był dla oskarżonego z wielu powodów szczególnie nieprzyjemny. W wyniku ostatecznym oskarżony uzyskał złagodzenie kary z trzech na dwa miesiące bezwzględnego aresztu. Motywem złagodzenia było przyjęcie przez Sąd jedynej, zdaniem Sądu, zachodzącej okoliczności łagodzącej, to jest odbycie przez oskarżonego służby wojskowej.

W ten sposób wymiar kary został pomniejszony. Natomiast zaostrzony, bodajże, został sąd o całości sprawy, zawarty w ustnych motywach wyroku.

W motywach tych, według zgodnej relacji szeregu organów prasowych, podniesione zostały następujące momenty zaostrzające winę, jak szczególne napięcie złej woli oraz obłuda. Równocześnie Sąd odrzucił pogląd obrony, że jako okoliczność łagodzącą należy uznać poziom artykułów oskarżonego. Przeciwnie, zdaniem Sądu, oskarżony, jako posługujący się niedopuszczalnymi metodami prasowymi, nie może być uznany już nie tylko za najpoważniejszego, lecz nawet za poważnego publicystę.

Obrońca p. Mackiewicza zapowiedział ponowne odwołanie się do Sądu Najwyższego. I znowu, zapewne, jest to odwołanie się nie tylko od wyroku, lecz przede wszystkim od jego motywów.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Paradoksy o demokracji

W przekładzie p. J. Popiela z przedmową prof. Czesława Znamierowskiego ukazało się tłumaczenie książki Henri de Jouvenel „Republika koleżków" na temat stosunków panujących w ustroju czysto parlamentarnym we Francji.

Książka ta dla stosunków polskich jest już dziś znacznie mniej aktualna, aniżeli była by przed 10 laty. Niemniej — ze względu na łatwość i oryginalność formy — znajdzie napewno chętnych czytelników.

Zamiast recenzji — garść fragmentów na temat poszczególnych zagadnień, stanowiących przedmiot zainteresowania autora.

SANKCJE

„W nowoczesnym Państwie istnieją cztery potężne sankcje: interpelacja, odwołanie z urzędu, skandal i więzienie.

Interpelacja, dla członków rządu.
Odwołanie z urzędu, dla urzędników.
Skandal, dla ludzi poważanych.
Więzienie, dla wszystkich.

Czasem sankcje te łączą się, ale to tylko wyjątkowo. Nie interpeluje się włóczęgów, a mężowie stanu wymykają się zazwyczaj trybunałom.

PODATKI

„Wyobraźmy sobie teraz, że w tych warunkach minister skarbu proponuje wprowadzenie podatku od fortepianów. Jest to reforma nie cierpiąca zwłoki i wprost niezbędna dla zrównoważenia budżetu. Ba, jest to, co ważniejsza, środek na ogół demokratyczny i wszyscy zgadzają się nań głosować.

— Jednak trzeba będzie zwolnić muzyków zawodowych — nadmieniają socjaliści.

— No, i nauczycieli tańca — dodają radykali, reprezentujący klasę średnią.

I wnet się sypie, jak z rękawa:

— Zwolnijmy rodziców trojga żyjących dzieci.

— I rodziny, które mają syna w wojsku.

— Tych, którzy spędzili dziesięć lat w koloniach.

— Nauczycieli.

— Kupców kolonialnych.

Ostatecznie podatek od fortepianów przechodzi olbrzymią większością. Niestety, nie ma go komu płacić.

RZĄDZENIE

„Rządzić, to znaczy wyznaczać urzędników, których się nie zna, do działań, na których się nie zna; to znaczy: pośród chóru próśb, łajań, wzajemnych oskarżań i gróźb, rozdzielać awanse i ordery.

Rządzić, to znaczy jeszcze: opanowywać bezpośrednie trudności. Mówi się, że minister znajduje się w obliczu trudności bezpośrednich, jeśli jakiś fakt poważny, albo skandaliczny, który wydarzył się w jego agendach, nie da się już ukryć.

Ponadto rządzić, to podpisywać.

Zaledwie przed godziną objął minister swój urząd, a już zjawia się przed nim urzędnik, i podsuwa akta, wskazując mu miejsce, gdzie należy położyć swój podpis.

„Jest to scena symboliczna. Szef kancelarii, który jest przy tym obecny, w postawie pełnej szacunku, lecz i rozkazującej, poucza ministra o rozległości jego władzy i jej granicach.

— Oto — mówi on całym swym zachowaniem— decyzja, której Pan nie wydał, dotyczy ona spraw, na jakich wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Pan się nie zna. Zaprojektowaliśmy ją i zredagowali przed Panem i poza Panem. Pan może być obalony, my ją wykonamy nawet po pańskim odejściu. Jednakże potrzebujemy pańskiego podpisu i bez niego nic nie możemy.

I minister podpisuje.

W ten sposób poznał on w jednej chwili całą pychę, związaną z władzą, i całą skromność, jaka przystoi ludzkim poczynaniom. Od tej chwili otrzymuje wielką moc, której jest niewolnikiem".

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 609-70.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Rewindykacje kolonialne

(z. d.) Przy uroczystościach w 15-tą rocznicę marszu na Rzym wygłosił Mussolini przemówienie, w którym m. in. wyraził się, iż jest rzeczą niezbędną, aby naród niemiecki „miał swe należne miejsce pod słońcem". Mussolini wypowiedział się innymi słowy na korzyść niemieckich rewindykacji kolonialnych. Można się teraz spodziewać, że dyplomacja włoska wprowadzi postulat zwrotu Niemcom ich dawnych kolonii do wysuwanych przez się planów „uspokojenia świata".

Wystąpienie Mussoliniego wywarło duże wrażenie w państwach, posiadających te terytoria kolonialne, które dawniej należały do Rzeszy. We Francji najcharakterystyczniejszy jest komentarz *La Republique*. Zdaniem jej, Mussolini idzie za przykładem Bismarcka, który po roku 1870 starał się nastawić Francję na ekspansję kolonialną, aby ją w ten sposób odwrócić od Renu. Dzisiaj — pisze *La Republique* — Rzym pragnie tą metodą powstrzymać Rzeszę od ekspansji w Europie środkowej — ekspansji, skierowanej przez Austrię ku nowym włoskim granicom. Tezę tę podtrzymuje również wiedeński korespondent *Le Tempsa*, który zamknął opinię austriacką o wystąpieniu Mussoliniego w następujących, lapidarnych słowach: „Austria zadowolona, że Duce szuka dla Niemiec miejsca pod słońcem w Afryce, a nie nad Dunajem".

Nasuwa się uwaga, że jeśli Bismarck zwracał Francję po roku 1870 ku Afryce, to przyświecała mu nie tylko chęć odwracania dynamizmu francuskiego od Renu. Bismarckowi — jak to było w kwestii Tunisu — chodziło również o to, aby nastawić Włochy przeciwko Francji i zbliżyć je w ten sposób do Niemiec. Dziś więc — snując dalej za *Republique* analogię — należałoby posądzać Mussoliniego, że podsycając żądania niemieckie zwrotu ich dawnych kolonii, stara się tym samym pogłębiać rozbieżności, dzielące dziś Rzeszę od Anglii i Francji i uzależniać ją w ten sposób od przyjaźni z Włochami. Istotnie, sądząc po uchwałach dorocznych zjazdów partii konserwatywnej i enuncjacjach ministrów, Anglia wyklucza myśl jakichkolwiek terytorialnych zmian w obrębie swego imperium. Podobnie i Francja daleka jest od myśli oddania Niemcom Kamerunu lub Togo. W takich warunkach wysuwanie przez Niemcy rewindykacji kolonialnych i pobrzękiwanie przy tym wespół z Włochami szabelką może wywołać jedynie zadrażnienie i ciągłe swary. Chyba, że odbędzie się jakiś haniebny targ w rodzaju dania Niemcom „wolnej ręki na europejskim Wschodzie".

Tę ostatnią ewentualność przewidują w Anglii politycy opozycyjnej Labour Party, a także niektórzy liberali. Ujawnia się to często w artykułach *Daily Heralda* i *Manchester Guardiana*. Stojący blisko min. Edena *Yorkshire Post* pisał, komentując wystąpienie Mussoliniego, że nie sądzi, aby w Anglii, lub innych zainteresowanych krajach „odmówiono kiedyś rozważenia sprawy pewnego wyrównania kwestii kolonialnej w formie szerzej zakrojonego ogólnego porozumienia, zawartego pod egidą i w ramach Ligi Narodów".

W związku z tymi planami roztopienia rewindykacji k o l o n i j w jakimś „w y r ó w n a n i u k o l o n i a l n y m" w formie „szerzej zakrojonego ogólnego porozumienia", zrobimy uwagę, że podobna idea przyświecała również twórcom i sygnatariuszom Paktu Czterech, owego nieudanego startu do rewizji granic państw Europy środkowo-wschodniej.

Siła a ustępstwa

(z. d.) Rewizjonizm hitlerowski, popierany przez Mussoliniego, sięga tak głęboko w grunt ubity w Wersalu, że wydaje się czasami, iż jedynie wojna może przełamać ewentualny opór tych, co musieliby ustąpić: Anglii i Francji. Czołowym problemem chwili staje się przez to pytanie, czy jedni ewentualnie mogą się odważyć na ostateczną, nieodwołalną odmowę, a drudzy, na wyciągnięcie uzbrojonej dłoni po to, czego pragną.

Znany niemiecki pisarz Ludwig opublikował niedawno w Anglii artykuł, w którym wyraża przekonanie, że w roku 1914 Niemcy oczekiwały i były przygotowane na wojnę z Anglią. Zdaniem jego i teraz sojusz Anglii z Francją nie powstrzyma Niemiec od rozpoczęcia wojny zdobywczej, chyba, że Stany Zjednoczone oświadczą, iż gotowe są ruszyć z b r o n i ą w r ę k u na pomoc demokracjom europejskim. W podobny sposób myśli wielu innych publicystów i polityków, tymbardziej, że uchwalone rok temu zbrojenia Anglii znajdują się dopiero w początkowej fazie realizacji. W tym przyrównywaniu sytuacji obecnej do lat z przed wielkiej wojny tkwi jednak pewien zasadniczy błąd. Porównywuje się bowiem czasy, w których na potencjał wojenny państwa składają się różnorodne czynniki i w których istota przygotowania do wojny jest różna. A nadto czasy — w których nieporównywalny jest stopień przygotowania Anglii do wojny.

Przed rokiem mniej więcej pewien oficer wysokiej rangi wygłosił w Londynie w Towarzystwie Wojskowym odczyt, w którym m. in. powiedział co następuje: „W roku 1914 nie byliśmy w żaden sposób przygotowani do wojny między wielkimi mocarstwami. Mimo gorączkowej czynności po wytworzonym braku amunicji upłynęło przeszło dziewięć miesięcy, zanim produkcja masowa była zabezpieczona. Stany Zjednoczone jeszcze dziewiętnaście miesięcy po wypowiedzeniu wojny nie wysłały do Francji ani jednego samolotu wyrobu amerykańskiego. Problemy wojenne nie są już tylko taktycznej lub strategicznej natury. Są one rodzaju przemysłowego. W ostatniej wojnie nasz przemysł był zbyt późno zorganizowany". Otóż dzisiaj sytuacja jest odmienna. Anglia może mieć jeszcze niedostateczną liczbę samolotów, tanków i dział, może mieć jeszcze niedostateczną liczbę małych jednostek morskich (w zakresie jednostek ciężkich posiada druzgocącą przewagę nad Niemcami i Włochami), ale jej przemysł jest już przygotowany do produkcji masowej. Fachowcy zgodni są co do tego, że gdyby wybuchła teraz wojna, to każdy nowy dzień oznaczałby nowy wzrost liczebnej p r z e w a g i środków wojennych Anglii nad środkami Niemiec czy Włoch. Podobnie jest ze zbrojeniami Francji. Nadto oba te państwa mają z a p e w n i o n y na wypadek wojny (politycznie i morsko-komunikacyjnie) dowóz surowców ze Stanów Zjednoczonych, a natomiast Niemcy i Włochy pozostałyby zdane na zapasy, z natury rzeczy ograniczone. Wiedząc, że ewentualna wielka wojna byłaby w dużym stopniu wyścigiem produkcji wojennej, wyścigiem w zakresie ilości i wytrwałości, można z dużą dozą prawdopodobieństwa twierdzić, że zaatakowanie Anglii i Francji przez Niemcy i Włochy mogłoby mieć szanse powodzenia tylko w w y j ą t k o w y c h warunkach taktyczno-strategicznych, wynikających ze szczęśliwych dla dyktatorów fluktuacji politycznych na płaszczyźnie międzynarodowej.

Trzeba się jednak wystrzegać zbytniego optymizmu. Wątpliwe, żeby Anglia i Francja zdecydowały się przeciwstawić się z flegmą i uporem żądaniom i dążeniom obu państw totalnych. Kilkadziesiąt lat temu można było wyznawać „teorię ryzyka", w myśl której oczywista przewaga zbrojna jednej strony, zwiększając ryzyko napaści, wpływała uspakajająco na drugą stronę. Dziś istnieje w tym równaniu jedna więcej funkcja, mianowicie konieczności wewnętrzne państw o ustroju totalnym. Społeczeństwa zorganizowane drogą gwałtu w sposób totalny znajdują się w stanie nieustannego buntu psychicznego przeciwko rządzącej nimi monopartii. Bunt ten daje się tłumić tak długo, jak długo państwo pod kierownictwem monopartyjnym odnosi jakieś wewnętrzne czy zewnętrzne zwycięstwa, polepszające gospodarczą lub polityczną sytuację kraju. Społeczeństwa totalne, odsunięte od decyzji i współodpowiedzialności, tracą zdolność uginania się pod ciężarem ewentualnych niepowodzeń, to znaczy niepowodzeń swych absolutnych władców. Niepowodzenie wodza państwa totalnego może oznaczać bunt polityczny, lub conajmniej depresję narodową. Źródłem takiego niepowodzenia może być w tej chwili dla wodzów Niemiec i Włoch odrzucenie ich postulatów przez Anglię i Francję, brutalne zahamowanie przez państwa demokratyczne dynamiki państw totalnych. W i ę k s z o ś ć s p o ł e c z e ń s t w a w Anglii i Francji pragnęłaby zdusić Niemcy i Włochy do tego stopnia, żeby rozbudzone do do ostateczności, a nie odprowadzone siły i namiętności narodu rozerwały totalną machinę państwową. Jednak r z ą d y, szczególnie rząd angielski, który w chwili obecnej pragnie za wszelką cenę utrzymać pokój, nie ulegają nastrojom „antyfaszystowskim", nie myślą o takiej pośredniej krucjacie ideologicznej. Sądzą naodwrót, że powinny nie dopuścić do takiej sytuacji, w której Führer czy Duce musieliby wybierać między wojną jako aktem rozpaczy, a katastrofą swego reżimu. Anglia i Francja m u s z ą dlatego w pewnej mierze dawać „wodzom" możność odniesienia zwycięstwa, choćby tylko p r e s t i ż o w e g o, muszą im w pewnej mierze ustępować, aczkolwiek militarnie mają na wypadek wojny pełne szanse zwycięstwa.

Istota sprawy ochotników

(z. d.) Zmienność sytuacji w londyńskim podkomitecie nieinterwencyjnym nie pozwala nam komentować na tym miejscu rokowań o wycofanie z Hiszpanii ochotników cudzoziemskich. Natomiast, wobec rozpowszechnionych tendencyjnych oświetleń, wymaga komentarza i s t o t a z a g a d n i e n i a ochotników.

Sprawa ta dawno już straciła charakter nieinterwencyjny. Stała się problemem czysto strategicznym. W sytuacji obecnej, ewentualna wojna między Włochami i Niemcami a Anglią i Francją, pociągnęłaby za sobą przyjęcie Walencji (dziś już raczej Barcelony, dokąd przeniósł się rząd hiszpański) do grupy sojuszników mocarstw demokratycznych. Gen. Franco, pragnąc zwyciężyć Walencję, musiałby więc oddać swe terytoria armiom mocarstw totalnych. Oznaczałoby to olbrzymie wzmocnienie ich pozycji strategicznej na Morzu Śródziemnym.

Gdyby, natomiast, udało się wycofać z Hiszpanii wszystkich ochotników, gdyby tym samym gen. Franco przestał być militarną ekspozyturą Włoch i Niemiec, to na wypadek wojny z Włochami i Niemcami Anglia i Francja nie miałyby powodu rozpraszać swych sił i popierać Walencję a gen. Franco nie miałby powodu do oddawania swych terytoriów Włochom i Niemcom. Szukałby on raczej sposobu, aby wojna domowa w Hiszpanii pozostała izolowana wśród zawieruchy europejskiej.

Drugą stroną zagadnienia jest ewentualność, że gen. Franco pokona Walencję w warunkach obecnych, a Włochy i Niemcy nie będą chciały wycofać swych ochotników. Jakaż powstałaby wtedy sytuacja? Gen. Franco miałby już swój cel: opanowanie Hiszpanii, osiągnięty. Gdyby w takiej sytuacji wybuchła wojna między mocarstwami, to czyż nie jest prawdopodobne, że gen. Franco, mając u siebie formacje zbrojne włosko-niemieckie, nie pragnąłby bynajmniej zwycięstwa swych protektorów? Rozumiałby, przecież, że protektorzy ci, pokonawszy ewentualnie Anglię i Francję, staliby się panami Hiszpanii.

Można tu zacytować dla analogii pewien fakt z epoki buntu Taipingów w Chinach. Gdy dla zwalczenia Taipingów trzeba było uciec się do pomocy obcej, wówczas Tseng-Kuo-Fan przeciwstawił się temu w pełnych godności słowach: „powstańcy chińscy (Taipingowie) są dziećmi Chin i chińskie wojska wystarczyłyby w zupełności dla stłumienia niepokoju w kraju. Po cóż mamy lekkomyślnie pożyczać żołnierzy u obcych i narażać się na śmieszność w oczach przyszłych pokoleń?" Czyż można sądzić, że Hiszpanie będą myśleć inaczej i po dotychczasowych, haniebnych interwencjach, dopuszczą do tego, aby gen. Franco utrzymywał porządek w kraju przy pomocy obcych wojsk? Jeśli wierzyć dość wiarogodnym „sondowaniom" już teraz gen. Franco ma dość włoskich i niemieckich „ochotników". Gdyby Włochy i Niemcy chciały okupować Hiszpanię jeszcze po zwycięstwie gen. Franco, to uczyniłyby z Hiszpanów swoich zdecydowanych wrogów.

Atutem strategicznym państw totalnych w dyplomatycznej grze z Anglią i Francją nie są bynajmniej perspektywy, związane z ostatecznym zwycięstwem gen. Franco, tylko interwencja w wojnie domowej, powodująca obecnie całkowitą zależność militarną Hiszpanii „narodowej". I dlatego właśnie Włochy i Niemcy starają się nie dopuścić do porozumienia w komitecie nieinterwencyjnym, mimo iż chodzi o p r o p o r c j o n a l n e wycofanie ochotników z o b u obozów, przy czym szanse zwycięstwa nie uległyby zmianie.

W komitecie londyńskim gra nie idzie już o nieinterwencję, tylko o obecną europejską równowagę sił. A jeśli Anglia i Francja oczekują spokojnie zwycięstwa gen. Franco to dlatego, że wytworzyło się w Paryżu i Londynie przekonanie, że to zwycięstwo nie pociągnie za sobą w przyszłości osłabienia pozycji mocarstwowej Anglii i Francji.

O NAS U OBCYCH

Stosunki polsko-niemieckie

W numerze październikowym miesięcznika *Volk und Reich* korespondent warszawski dzienników niemieckich — Hans Achim v. Dewitz — wystąpił z próbą analizy nastrojów antyniemieckich w społeczeństwie polskim. Motywując to swoje wystąpienie chronicznym charakterem powyższej sprawy w okresie powojennym, v. Devitz stara się przede wszystkim wykazać, że logiczniej byłoby usprawiedliwić nastroje antypolskie w Niemczech powojennych (za odstąpione w traktacie wersalskim ziemie i położenie niemieckiej ludności tych ziem), niż nastroje antyniemieckie w Polsce.

Przystępując do zobrazowania i przedstawienia przyczyn tego zjawiska, v. Dewitz dochodzi naasamprzód do przekonania, że przyczyny te leżą przede wszystkim w narodowym charakterze społeczeństwa polskiego, mniej w przyczynach politycznych czy aktualnych. Ciekawym rysem charakteru człowieka — powiada v. D. — jest to, że wybaczy on bliźniemu łatwiej błędy, niż zalety. Zjawisko to daje się całkowicie przenieść na teren wzajemnych stosunków między Polską a Niemcami. Polak wybacza więc Niemcowi jego gruboskórność, brak delikatności i rycerskości wobec kobiet, zbyt pozytywistyczne nastawienie do spraw życia codziennego, nastawia się jednak wrogo wobec przejawów dyscypliny i organizacji niemieckiej, porządku, drylu, zapału do pracy, preponderancji w dziedzinie nauki, gospodarki i techniki — dopatrując się w tym wszystkim dla siebie sui generis groźby i wyrzutu. Mimo prześladowań rosyjskich, tak dramatycznie opisywanych w publicystyce polskiej, Niemcy stali się najniesympatyczniejszymi spośród wszystkich trzech zaborców, mimo, że z b. zaboru pruskiego zrobili wzorowe województwo rolnicze, a ze Śląska podstawę polskiego życia przemysłowego.

Nastroje antyniemieckie w Polsce w latach powojennych tłumaczy v. Dewitz obawą, jaka objęła szerokie koła społeczeństwa polskiego wobec groźby „ewentualnej utraty ziem, zdobytych w niesłychanie szczęśliwych okolicznościach" (Pomorze, Poznańskie, Śląsk), a jaka wyrosła na podłożu niepewności, będącej udziałem szczęśliwego sukcesora tej wyjątkowej i niespodziewanej fortuny. Uczucie niepewności spotęgowało się z rozwinięciem przez Niemcy na szeroką skalę pomyślanej akcji rewizjonistycznej oraz przedsiębraniem prób w kierunku nawiązania bliższych stosunków z drugim wrogiem Polski — Rosją. Szczególnie sprawy ostatnie śledzi się w Polsce ze szczególnym napięciem, przy czym obawa przed nowym Rapallo jest dla strony polskiej równie groźna, jak ewtl. konflikt zbrojny między Rosją a Niemcami, wobec którego Polska nie mogłaby być obojętną. Z egzaltacji, z jaką traktuje się każdy konflikt niemiecko-sowiecki, wpada się w Polsce w drugą krańcowość, gdy ma miejsce nawet najbardziej niewinna wizyta ambasadora sowieckiego na Wilhelmstrasse.

Niezależnie od powyższych spraw, które — jak twierdzi p. v. Dewitz — od czasu do czasu wywołują po stronie polskiej ostre ataki prasowe, imputujące Rzeszy Niemieckiej bliżej nieokreślone plany agresywne na Wschodzie, istnieje jeszcze szereg innych spraw, stwarzających płaszczyzny tarcia we wzajemnych stosunkach. V. Dewitz zwraca tu uwagę na sprawę Gdańska, sprawę mniejszości niemieckiej w Polsce, sprawę zlikwidowanej Konwencji Genewskiej — jako rzeczy najbardziej obciążające te stosunki (Autor pomija tu zupełnie sprawę Polaków w Niemczech...). W tych warunkach — powiada v. Dewitz — jedynie mądrej polityce płk. Becka, rozumiejącego doniosłość podtrzymania dobrych stosunków polsko-niemieckich, należy zawdzięczać, że przynajmniej polskie ministerstwo spraw zagranicznych dokłada starań, by lojalnie wypełniać zobowiązania przyjęte w pakcie z r. 1934.

Wystąpienia antyniemieckie, ponawiające się w okresach periodycznych, są jeszcze — zdaniem v. D. — w dużym stopniu uzależnione od tego, jak w Polsce kształtuje się sytuacja wewnętrzno - polityczna. Poważną rolę w ugruntowywaniu tych antyniemieckich nastrojów w społeczeństwie odgrywa przede wszystkim „poważnie zażydzona i do ideologii Piłsudskiego wrogo się odnosząca prasa, przedstawiająca w sposób niezgodny z rzeczywistością wszystko, co się dzieje w Niemczech narodowo-socjalistycznych". Z drugiej strony koła rządowe nie traktują też w pewnych momentach dostatecznie surowo nagonek prasowych na Niemcy, z lekka i dyskretnie uchylając się tu od rygorystycznego zastosowania postanowień porozumienia prasowego. Tego rodzaju postawa kół rządowych daje się wytłumaczyć jedynie liczeniem się tych kół z panującymi w społeczeństwie polskim nastrojami politycznymi, przede wszystkim zaś liczeniem się z elementami prawicowymi, co zmusza koła rządowe do posługiwania się wyświechtanymi hasłami.

Zdaniem p. v. Dewitza, sytuacja ta musi doprowadzić do niemiłych następstw. Dla „polityki równowagi", prowadzonej przez min. Becka, koniecznym warunkiem powinno być utrzymanie w ryzach nastrojów antyniemieckich w społeczeństwie polskim.

Poglądy p. v. Dewitza podajemy bez komentarzy.

PLOTKI POLITYCZNE

Polacy są niepoprawni

W Warszawie wychodzi od dwunastu lat, redagowany przez doktora G. O., miesięcznik „Synarchista". Treść październikowego numeru tego pisma budzi słoneczne nadzieje. Oto dowiadujemy się — w artykule „Podoficerowie rezerwy nerwem społecznym" — że „z wyżyn mózgu Synarchicznego padł nakaz wyzwolenia człowieka i narodów, który jest hasłem podoficerów rezerwy, który jest tęsknotą i wolą ludów Rzeczypospolitej..."

A trzeba wiedzieć, że wzniósł na tę wyżyny ruch Synarchiczny Włodzimierz Tarło-Maziński. Jak pisze „Synarchista" — „najpierw zjawił się Mussolini, na co było stać Włochy, potem Hitler, na co było stać Niemcy, u nas Włodzimierz Tarło-Maziński jako ten, na którego stać Polskę".

Mój Boże! Jacy jesteśmy niepoprawni: cudze chwalicie, swojego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie!

»Ławki« czy Piccard?

Jednego z profesorów Politechniki obrzucono podczas wykładu zgniłymi jajami. Co się stało? Dlaczego? Jedni mówią: mason! Młodzież narodowa nie może ścierpieć! Inni się oburzają: wszystko to polityka ustępstw. „Ławki"... pokazują zęby! Do licznych problemów dekompozycji społecznej i politycznej przybył jeszcze jeden.

Lecz dni mijają powstają dalsze przypuszczenia. Okazuje się, iż ofiara „zgnijajady" należy do komisji polskiego lotu do stratosfery. Jak wiadomo projekt lotu wywołał ostatnio niezadowolenie prof. Piccorda. Może więc to piccardowscy emisariusze rzucili jaja?

Zdaje się jednak, że to nie piccardowcy tylko oenerowcy chwytają się argumentów tego pokroju.

W przededniu ważnych wydarzeń

Według informacji pewnej części prasy „Klub Demokratyczny zdecydował się ostatecznie z a j ą ć lokal przy ul. Nowy Świat 21 m. 4", w którym dotychczas mieścił się Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej i jego Seniorzy, „gromadziła się Naprawa" itd.

Według otrzymanych przez nas dodatkowych wiadomości w związku z tym została już zarządzona obustronna mobilizacja. Zwraca ogólną uwagę, że prof. Michałowicz—wbrew swym sympatiom politycznym — plany swe oparł na doświadczeniach pierwszego okresu działań wojsk powstańczych gen. Franco.

Głębiej wtajemniczeni twierdzą, że na decyzję Klubu Demokratycznego wpłynęła wiadomość, że kiedyś — jeszcze w latach przedwojennych — w domu przy ul. Nowy Świat 21 mieścił się jeden z hotelików, będących w rękach międzynarodówki wolnomularskiej skutecznym środkiem sprowadzania młodzieży polskiej na drogi demoralizacji i masońskiego zepsucia obyczajów.

PRZEGLĄD PRASY

O prawa Polski w Gdańsku

Ostatnie wypadki, rozgrywające się na terenie Gdańska, dały KURIEROWI POZNAŃSKIEMU (nr 496) asumpt do wystąpienia z alarmem w sprawie świadomego i planowego umniejszania praw Polski w Gdańsku.

„Ujmując w lapidarnym skrócie obecną sytuację w Gdańsku, można śmiało powiedzieć, że co do ustroju wewnętrznego Wolne Miasto niczym już się nie różni od prowincji Rzeszy Niemieckiej. Wiadomo od dawna, że rządzą w Gdańsku wysłannicy Berlina. Tak jest faktycznie. Teraz, po bliskim już uznaniu Partii Narodowo-Socjalistycznej za konstytucyjne przedstawicielstwo ludności, wytworzony stan faktyczny stanie się „prawnym". W takiej sytuacji oficjalne włączenie Gdańska do Rzeszy byłoby już tylko przekreśleniem polsko-gdańskiej wspólnoty celnej, zniesieniem gdańskiej odrębności walutowej i zabraniem polskich urządzeń komunikacyjnych, w szczególności kolejowych. Do tego stopnia doszedł już proces unifikacji Gdańska z Rzeszą!

Jak się ma zachować w takiej sytuacji Polska? Czy zezwoli na sankcję prawną dla wytworzonego stanu rzeczy? Czy będzie zabiegała o sprzeciw Ligi Narodów, która ma prawo w sprawie konstytucji zabierać głos? Czy mamy się zadowolić papierowymi deklaracjami senatu gdańskiego, że nawet w nowych warunkach będziemy w Gdańsku „tolerowani"? Takie i podobne pytania nabierają teraz palącej aktualności.

Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że sięgnąć tu trzeba po środki radykalne, trzeba podjąć czyny, które skutecznie przeszkodzą realizowaniu hasła „Zurück zum Reich", bo istotnie wszystkie czynniki niemieckie zmierzają już wyraźnie do zaboru Gdańska, oczekując tylko na odpowiednią konjunkturę polityczną."

MORZE (nr 11 — listopad 1937) zwraca w związku z takim stanem rzeczy uwagę na jeden poważny błąd zasadniczy, jaki istnieje w rozumowaniu czynników gdańskich, prowadzących obłąkaną politykę we wzajemnych stosunkach Wolnego Miasta z Polską.

„Jest nim nie docenianie woli Polski, dążącej do rozwoju swej pracy nad Bałtykiem, niezrozumienie faktu, że Polska — będąc dzisiaj taką samą rzeczywistością historyczną, jak Rzesza niemiecka — siłą rzeczy musi oddziaływać na ludność polską w Gdańsku, musi wzmacniać jej odporność narodową, pragnienie rozwoju życia. Proces ten zresztą znakomicie przyspieszają sami narodowi-socjaliści, likwidując stronnictwa polityczne o charakterze międzynarodowym czy religijnym, a wysuwając na plan pierwszy hasła nacjonalistyczne, oddziałujące również i na ludność polską. Niezrozumienie tych rzeczy prowadzi do tak żałosnych pomyłek, jak wydany policji nakaz odprowadzania dzieci polskich do szkół niemieckich, nakaz, który spotkał się ze zdecydowanym oporem przede wszystkim ze strony samych rodziców, a nawet dzieci. Z drugiej strony „zgleichszaltowanie" ludności niemieckiej w szeregach jednej partii przyczyniło się do całkowitego zjednoczenia żywiołu polskiego w ramach centralnej organizacji polskiej i do zaniechania sporów orientacyjnych, obecnie zupełnie już nieaktualnych."

Pismo przestrzega dalej przed zbyt nerwowym załatwianiem spraw, związanych z naszymi usprawnieniami w Gdańsku:

„Broniąc dzisiaj jak najbardziej stanowczo sprawy polskiej na terenie Wolnego Miasta, nie powinniśmy tracić zimnej krwi, ani dać się powodować nerwom, wystrzegając się błędów w rodzaju przeciwstawiania Gdyni Gdańskowi, nie doceniając roli Gdańska w życiu gospodarczym Polski, tj. tych argumentów, które są wodą na młyn pewnych czynników w Wolnym Mieście, którym po prostu zależy na osłabieniu więzów jego z Rzeczpospolitą."

Jeżeli chodzi wreszcie o samo zagadnienie współpracy Gdańska z Polską, MORZE zwraca uwagę, by przy regulowaniu tej sprawy nie pomijać interesów i potrzeb ludności polskiej, żyjącej na terenie Wolnego Miasta.

„Znając nastawienie pewnych czynników w Gdańsku, zgóry należy się zastrzec przeciwko próbom uregulowania współpracy kosztem ludności polskiej na ziemi gdańskiej. Zarówno rząd polski, jak i społeczeństwo polskie — dały już aż nadto wymowne dowody, że liczenie na pobłażliwość w tym wypadku ze strony polskiej byłoby całkowitą, niczym nieumotywowaną naiwnością, byłoby dowodem braku zupełnego poczucia rzeczywistości u czynników, rządzących w Wolnym Mieście."

Jeszcze o deklaracji

Nawiązując do zarzutów, jakie pojawiły się ostatnio pod adresem Deklaracji 4 czołowych organizacyj młodzieżowych z 14.10 POLSKA ZBROJNA (nr. 298) stwierdza co następuje:

„Większość zarzutów możnaby tak streścić: wszystko to pięknie brzmi, ale rzecz w tym, kto deklarację podpisał. Nie jest to dzieło samej młodzieży, ale polityków. Ci właśnie politycy z wojewodą Grażyńskim na czele pragną za pomocą młodzieży osiągnąć jakieś cele polityczne.

Nie myślimy przeczyć, że autorzy porozumienia, w szczególności przewodniczący ZHP wojewoda Grażyński, są równocześnie mężami, odgrywającymi dużą rolę polityczną. Jeśliby jednak chcieli wygrać jakieś ukryte cele osobiste lub partyjne, musieliby to zpewnością zaznaczyć w deklaracji, narzucając młodzieży zadania polityczne lub fałszywe zasady ideowe. Analiza deklaracji przekonuje natomiast o czymś wręcz przeciwnym. Wszak dawno nie spotkaliśmy się z tak pięknie sformułowanymi wytycznymi wychowania młodzieży. Ktokolwiek orientuje się w treści prawa i przyrzeczenia harcerskiego, może przekonać się, że deklaracja ideowa młodzieży jest rozwinięciem zasad ideowych harcerstwa, nie zmieniając jej w niczym".

I dalej jeszcze:

„Jest jeszcze . zarzut specjalny, jakoby porozumienie między organizacjami młodzieżowymi było wymierzone przeciw jakimś innym organizacjom młodzieży. I znów trzeba stwierdzić chybą złą wolę lub dużą bezmyślność u tych, którzy tak stawiają sprawę. Prawdą jest, że deklaracja zajmuje stanowisko wobec pewnych koncepcyj w zakresie wychowania i metod działania, które są lansowane przez niektóre odłamy młodzieży. Ale przecież mogą i powinny takie organizacje, jak Harcerstwo, Strzelec, czy Związek Młodej Wsi zajmować zasadnicze stanowisko w sprawach pewnych koncepcyj, związanych z wychowaniem młodzieży. Nie może bowiem być obojętne harcestwu, czy wychowa się młodych ludzi w poszanowaniu godności ludzkiej i uzbroi zasadami etyki Chrystusowej, czy też rozpali się w młodzieży ognisko zoologicznej nienawiści, oraz uzbroi ją pałką i kastetem. To nie jest gra polityczna, ale walka o ideowe zasady wychowania młodzieży, zgodne z wymogami kultury polskiej i chrześcijańskiej".

Pismo konkluduje ostatecznie:

„Około sprawy porozumienia między organizacjami młodzieżowymi powinna się skupić dobra wola i energia całego społeczeństwa. Trzeba właściwą realizacją zasad współpracy zadać kłam małodusznej i płaskiej propagandzie pewnych klik partyjnych. Próbom rozbicia przeciwstawić wolę jedności, małej wierze w interesy osobiste i partyjne przeciwstawić wielką wiarę w przyszłość tej Polski, która idzie".

Organ Związku strzeleckiego — STRZELEC — ocenia porozumienie jako wyraz zjednoczenia ideowego młodego pokolenia polskiego.

„Stwierdzamy z pełną satysfakcją, iż najistotniejszej wartości aktu ideowego zjednoczenia młodzieży szukać należy nie w płaszczyźnie politycznej, lecz — etycznej i moralnej. Ten bowiem sens znamionuje przede wszystkim ogłoszoną deklarację.

Potężny blok organizacyj, skupiających w swych szeregach około miliona członków, przyjmuje za podstawę swego życia „prawdę, polegającą na zgodności haseł z czynem", radość życia czerpać pragnie „z pokonywania przeszkód i zasłużonych zwycięstw", głosi „szlachetną rycerskość, która jest znamieniem ludzi naprawdę silnych", obiecuje oprzeć wychowanie młodzieży o „niezłomne zasady etyki chrześcijańskiej", (która wszak nie uznaje spekulacji materialnej i moralnej), chce spleść „uczucia miłości Ojczyzny z pojęciem honoru i obowiązku żołnierskiego", głosi między sobą — „poczucie ideowego braterstwa".

Dlatego akt zjednoczenia młodzieży pozwala jaśniej patrzeć w przyszłość".

W tym samym duchu wypowiedział się SIEW MŁODEJ WSI, pisząc m. in. co następuje:

„Słowa deklaracji są jasne, proste szczere, pozbawione napuszonych zwrotów, które zaciemniałyby prawdę, lub ukrywały niedomówienia, czy intrygi polityczne. Dlatego też zostały przychylnie przyjęte przez całe społeczeństwo postępowe i patriotyczne.

Porozumienie z dnia 14 października nie jest wymierzone przeciw komukolwiek. Szanujemy prawo innych do uczciwej i rzetelnej pracy, zwalczamy tylko wielkie słowa i rzucanie obietnic, za którymi nie stoi uczciwy wysiłek, zwalczamy brutalizm, terror i anarchię, które deprawują dusze młodzieży.

Czuwać będziemy nad tym, by młode pokolenie nie zostało sprowadzone na manowce niebezpiecznych haseł, eksperymentów zagranicznych i metod walki, nie licujących z honorem Polaka. Czuwać będziemy, by nasze szeregi nie zostały wciągnięte na niebezpieczne ścieżki, na które chcą wprowadzić niepowołani „zbawcy ojczyzny".

Droga do dalszej konsolidacji jest otwarta dla każdej innej organizacji, która uzna słuszność zasad wysuniętych w deklaracji czterech podpisanych organizacji".

Dekompozycja w Stronnictwie Narodowym

Ostatnie obrady Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego, zwłaszcza zaś wybór adwokata Kowalskiego z Łodzi na prezesa Stronnictwa, zwróciły uwagę na wybitnie posunięty stan dekompozycji, jakiej uległo to ugrupowanie.

Według DZIENNIKA POLSKIEGO (Nr. 295).

„wybory władz naczelnych Stronnictwa Narodowego dały wynik nieoczekiwany, zwłaszcza dla czynników miarodajnych partii, które reżyserowały i przygotowywały zjazd ciała wyborczego. Szczególnie sensacyjny jest upadek kandydatury b. posła Bieleckiego, najbliższego współpracownika Romana Dmowskiego, który forsowany był wszelkiemi sposobami i wpływami na stanowisko prezesa przez „górę partyjną". W ten sposób „góra" poniosła klęskę. Tego rodzaju rezultat wyborów przyjęty został w poważniejszych kołach stronnictwa bardzo niechętnie, co w związku z powstałym niedawno Stronnictwem Pracy zdaje się zapowiadać pogłębienie tarć i przeciwieństw w łonie Stronnictwa Narodowego. Przewiduje się mianowicie, że umiarkowane żywioły N. D., zwłaszcza w sferach inteligencji i mieszczańskich, tym przychylniej patrzeć będą na akcję polityczną Paderewskiego, Hallera i Korfantego, których nazwiska w szerokich kołach mówią bez porównania więcej niż nikomu nieznani pp. Kowalski, Matlachowski czy Niebudek.

To samo zdziwienie wywołuje w szerszych kołach zupełne odsunięcie pp. Rybarskiego, a zwłaszcza R. Seydy zasłużonego przywódcy w Poznaniu.

Podkreśla się równocześnie jako fakt niezmiernie charakterystyczny obniżenie poziomu Stronnictwa Narodowego, które wynosi na szczyty partyjne osobistości w życiu umysłowym i politycznym niczym się nie legitymujące".

Z podobną oceną spotkał się wybór adw. Kowalskiego na prezesa Stronnictwa Narodowego na łamach DZIENNIKA BYDGOSKIEGO (nr 247):

„Wybór Kowalskiego na prezesa stanowi wielką niespodziankę nie tylko dla członków Stronnictwa Narodowego, ale i dla kół politycznych w ogóle. Sylwetka nowego prezesa Stronnictwa Narodowego jest aż nazbyt dobrze wszystkim znana. Jest to człowiek impulsywny, wybuchowy i mało zrównoważony, używający w polityce różnych chwytów, nie gardzi też tanią demagogią. Szczególnie po byłym prezesie p. Bartoszewiczu, kandydatura następcy jego jest rażąca.

Z założeń swoich politycznych p. Kowalski jest mniej znany, choć wiadomo, że najbliższe jego sercu

są tendencje totalistyczne. Najbardziej zaangażował się on na odcinku antyżydowskim. I być może, że to przyczyniło się do powodzenia jego kandydatury, gdyż antysemityzm stał się częścią programową również sanacji, i dziś Stron. Narodowe, aby nie dać się zdystansować na tym tak popularnym odcinku swej działalności, będzie musiało wszcząć akcję antyżydowską, a to doskonale poprowadzić będzie umiał adw. Kowalski."

WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (nr 298) określił występujące w relacjach „Dziennika Polskiego" i „Dziennika Bydgoskiego" doszukiwanie się w ostatnich wydarzeniach na terenie Stronnictwa Narodowego gierek personalnych jako pogoń za tanią sensacją, względnie jako zupełne niezrozumienie charakteru ruchu i jego polityki.

„W Stronnictwie Narodowym — pisze „Warszawski Dziennik Narodowy" — wola jednostek jest znacznie mniejsza niż w każdym innym. Wynika to z posiadania przez nie mocnego zespołu kierowniczego. Wyklucza to wszelką możliwość szerszej emulacji osobistej i formowania się t. zw. „kapliczek".

Nie sprzyja temu również powaga zadań, jakie stoją przed Stronnictwem Narodowym w kraju. Gdyby Stronnictwo Narodowe było jedną z wielu grup politycznych walczących o władzę przeważnie dla samej władzy, gra taka miałaby może realniejsze podstawy. Ale Stronnictwo dąży do głębokiej przebudowy państwa i społeczeństwa, do wprowadzenia w Polsce ustroju narodowego w całej jego rozciągłości, do zbudowania polskiego państwa narodowego."

Inaczej patrzy się na tę „wielką" politykę Stronnictwa Narodowego AKCJA NARODOWA (nr 3):

„Od czasu przewrotu majowego Stronnictwo Narodowe grupowało głównie żywioły niezadowolone lub uprzedzone do systemu Piłsudskiego. Żadna pozytywna myśl, ba nawet wspólny pogląd na sprawy żydowskie, nie skupiały starych liberałów, „średniaków" parlamentarnych i młodych „faszystów", w jeden wspólny ideowo obóz polityczny. To też gdy zabrakło Józefa Piłsudskiego jako przedmiotu „nienawiści", gdy wszystkie grupy i stronnictwa zmuszone zostały siłą faktów do ustosunkowania się tabiego lub innego do zagadnień polskich, zarysowały się natychmiast szczerby w „jednolitym" ugrupowaniu. Ustąpienie prezesa Bartoszewicza, zawieszenie a właściwie wykluczenie Stypułkowskiego i Rabskiego, frondy poznańskie, walka „młodych" ze starymi o władzę w partii, niemożność wyboru przez dłuższy czas prezesa, wreszcie kompilkacie z Frontem Morges — wszystko to świadczy, że Stronnictwo Narodowe mimo ciągłego powodzenia w masach nie reprezentuje żadnej prężności politycznej żadnej zdolności do akcji w większym stylu, że jest skazane siłą rzeczy na dalszy marazm."

KURIER PORANNY (nr 300) w sposób bardzo przekonywujący przypomina że aktualną politykę Stronnictwa charakteryzuje zupełna pustka.

„Wiemy ostatecznie do czego programowo dąży P. P. S., ludowcy, nawet Front Morges, nikt natomiast nie wie, jak sobie wyobraża przyszłość Polskie Stronnictwo Narodowe. Ścieśnienie bowiem wszystkich postulatów politycznych do problemu usunięcia Żydów z Polski nie stanowi żednej odpowiedzi na wszystkie inne kapitalne zagadnienia, jakie stoją w chwili obecnej przed państwem polskim, pomijając już to, że kwestię sposobu szybkiej likwidacji żywiołu żydowskiego Stronnictwo Narodowe przezornie omija. Grupa, która w swoim programie ma właściwie jeden punkt konkretny: żydzi, nie może pretendować do miana partii wszechpolskiej. Nie ogarnia bowiem powszechnych spraw polskich.

Dyktatura frazesu panuje tak silnie w polityce Stron. Narodowego, że nie sposób wyłuskać z niej choć jednej myśli, jednej wskazówki, czego chcą naprawdę odwieczni, choć niefortunni pretendenci nie tylko do rządu dusz, ale i do rządów rzeczywistych trzydziestopięciomilionowego kraju".

Paderewski na indeksie

Wysunięcie na plan pierwszy, w aktualnym stanie prac „Stronnictwa Pracy", osoby I. Paderewskiego, spotkało się w kołach endeckich ze zrozumiałą irytacją. Irytacja ta daje się usprawiedliwić faktem, że przecież kto jak kto, ale właśnie I. Paderewski był dotąd uważany zawsze przez przeciętnego endeka za niewątpliwego „narodowca". Kiedy jednak I. Paderewski sprzeniewierzył się „idei narodowej" i dał się — obok wielu innych, żeby wymienić tylko Hallera, drugiego patentowanego „narodowca" — użyć za narzędzie akcji politycznej, robionej przez jakąś mafię masońską, pociągając za sobą do tej pracy szereg wybitnych person Stronnictwa Narodowego, prasa endecka uznała za wskazane rozwiać legendę o „narodowym" usposobieniu „wybitnego muzyka", przedstawiając go po prostu jako jednego z wielu... agentów roboty masońskiej w Polsce!

Czołowy organ endecki — WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (nr 299) — pisze na temat I. Paderewskiego, co następuje:

„Dalecy jesteśmy od przedsiębrania ataków przeciw sędziwemu politykowi, niewątpliwie ożywionemu najlepszą wolą, ale nie znającemu kraju i jego dzisiejszego życia, oraz odgrodzonemu od społeczeństwa polskiego przepaścią zupełnego niezrozumienia zarówno sprawy żydowskiej, będącej dziś bezspornie głównym naszym politycznym problemem wewnętrznym, jak i faktu potężnego rozwoju w Polsce nowoczesnego ruchu narodowego.

Musimy jednak stwierdzić, że dla wyprowadzenia Polski na tory pomyślnej przyszłości zgoła nie wystarcza ani amnestia polityczna, ani złagodzenie systemu policyjnego, ani nawet „demokratyczne" wybory (które w takiej np. dzisiejszej Francji okazują się nie tyle lekarstwem, co właśnie źródłem choroby).

Polska wymaga innych całkiem środków zaradczych. O wiele głębiej sięgających i o wiele bardziej zasadniczych.

Ale tych nam nie da ani drogowskaz Ignacego Paderewskiego, ani nowopowstała partia, grupująca ludzi minionej już w Polsce epoki."

Zasady wzajemności

Zagadnieniem praktycznego stosowania zasady wzajemności na odcinku spraw polsko-litewskich zajął się ostatnio KURIER WARSZAWSKI (nr 297), dochodząc do przekonania, że stosowane przez stronę polską na Wileńszczyźnie retorsje za gnębienie ludności polskiej na Litwie mają doprowadzić do sprawiedliwego traktowania mniejszości narodowych.

„Chcemy — pisze „K. W." — bronić praw narodowych i obywatelskich swych współrodaków wszelkimi środkami, przyjętymi w świecie cywilizowanym i w pewnych okolicznościach uznawanymi za konieczne. Chcemy bronić ich praw religijnych, które są im tam odmawiane. Jeśli droga rokowań dyplomatycznych została Polsce przez Litwę zamknięta, to co jeszcze pozostało, aby móc wywołać po drugiej stronie zastanowienie, rozwagę, resztki rozsądku politycznego?

Żadne państwo nie zgodzi się na to, aby właśnie ono w tej dziedzinie stanowiło całkiem osamotnioną oazę humanitaryzmu narodowego. Zasada wzajemności musi tu być uwzględniona w całej pełni."

»O. P. Sandomierz«

Polski centralny okręg przemysłowy zwiedziła ostatnio wycieczka dziennikarzy i publicystów polskich. Wycieczka, której przewodniczył wicepremier inż. E. Kwiatkowski, pozwoliła przedstawicielom prasy polskiej zetknąć się z tym nowym wielkim dziełem pracy polskiego mózgu i polskich rąk, dziełem, wyrastającym tak wybitnie ponad poziom szarzyzny naszego dnia codziennego.

GAZETA POLSKA (nr. 298) widzi w powstającym okręgu centralnym wyraz nurtu dzielności, idącego w chwili obecnej przez kraj:

„To już nie jest mit; to dotykalna rzeczywistość. Wyrasta ona z dnia na dzień w tej przysłowiowej krainie bierności i nędzy, tworzona gorączkową pracą wielotysięcznych rzesz ludzkich. Śmiała decyzja i mocna wola odnosi triumfy, znaczone nowymi zakładami produkcji i innymi urządzeniami, z których jedne już są czynne, inne będą czynne jutro. Wzmożone tempo życia uderza wszystkie zmysły, wypełnia całą atmosferę. Powstają rzeczy naprawdę wielkie i wspaniałe.

W oczach naszych montuje się już drugi, obok gdyńskiego, wysoki i potężny filar z rzędu tych, na których rozpostrzeć się ma sieć, obejmująca kraj cały, nowy, nieskończenie od poprzedniego wyższy, poziom polskiej rzeczywistości materialnej."

Przebywającemu na terenie wznoszonego okręgu centralnego obserwatorowi rzuca się w oczy JEDNOŚĆ, oparta na jednakowej podstawie psychicznej, na DZIELNOŚCI.

„Cały okręg centralny jest jedną wielką i wymowną pochwałą dzielności.

Jest on równocześnie pochwałą młodości. Albowiem dominuje element młodych i najmłodszych; porwał on i starszych wiekiem, których jednak stać jeszcze było na młodość uczuć umysłu i woli."

Organ kół wojskowych — POLSKA ZBROJNA (nr. 297) — określając wizytę w Sandomierszczyźnie jako sui generis kurację psychiczną, patrzy na tworzone tam dzieło od strony potrzeb obrony narodowej:

„Centralny Okręg Przemysłowy powstaje. Już dzisiaj jest rzeczywistością. Wyrasta z ziemi żelaznymi szkieletami olbrzymich hal fabrycznych, misterną siatką elektrycznych stacyj transformatorowych i smukłością wież linii napowietrznych, wrasta w ziemię potężnymi palami, które parowy młot wbija z ogłuszającym łoskotem w Rożnowie, płynie energią gazu ziemnego wzdłuż rurociągów, ryje pokłady rud. Rośnie w sercach ludzi, których mózg i ręce tworzą wielkie dzieło...

Harmonia najistotniejszych potrzeb polskiego gospodarstwa z wymaganiami obrony narodowej daje gwarancję słuszności podjętych wysiłków. Rozdzielanie tych dwu pojęć — w warunkach naszych tak ściśle ze sobą powiązanych — byłoby po prostu sypaniem piasku w oczy. Bogu dzięki, nieporozumienie się kończy."

Wreszcie według GOŃCA WARSZAWSKIEGO (nr. 298) montowany „C. O. P. Sandomierz" jest wspaniałym egzaminem, jaki wobec świata zdaje „gospodarka polska".

„Dzieło, które rośnie w centralnym okręgu, jest zaprzeczeniem pogardliwego przysłowia o „polnische Wirtschaft". Okazuje się, że „polska gospodarka" zdaje wspaniale egzamin i dorównuje tempem, celowością, rozmiarami gospodarce przemysłowych narodów. Potrafimy, gdy chcemy, gdy zdobędziemy się na plan i wolę. Nasz inżynier, rzemieślnik i robotnik, użyty przez umiejętne kierownictwo, tworzy cuda gospodarcze.

Kto wątpi w siły narodu polskiego, niech jedzie do okręgu centralnego. Niech się wykąpie w atmosferze twórczej pracy, niech nabierze pędu i tempa, jaki ogarnął budowniczych centralnego okręgu. Wyzwoli się wtedy szybko z niewiary i zwątpień. Z pogardą spojrzy na jałowe kłótnie i spory, jakie toczą Warszawa i inne ośrodki Polski. Zrozumie, że wielkość Polski rośnie z zespołowej, zgodnej i planowej pracy wszystkich Polaków."

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie.
Zagranicą: 21 zł. rocznie 6 zł. kwartalnie Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korejwo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem